



CAŁY NARÓD BUDUJE
SWOJĄ STOLICĘ



JANUSZ MINKIEWICZ

WIERSZ PISANY W MIESIĄCU BUDOWY WARSZAWY

Fabryczne syreny
syrenią stolicę
Ze snu podrywają...
I dudnią ulice!
I dudni i tętni
— że szumi aż w głowie —
Budowa w Warszawie,
Warszawa w budowie...

Ochotę i Wolę,
Muranów i Młynów
Podnosi Warszawa
rękami swych synów.
W tych rękach się pali
warszawska robota,
Bo taka w nich wola
i taka ochota!

Potężne „stalińce“!
Stalowe żorawie!
Wysoko się wspinać
każecie Warszawie...
Budowa poczęta
przez mózgi i serca —
I pnie się do nieba
i w ziemię się wwierca.

Lud oddał budowie
swe mózgi i mięśnie
Na własny pożytek
i dzieciom na szczęście.

Na szczęście,
na pokój, strzeżony surowo,
Na przyszłość słoneczną,
na przyszłość ludową,
Na dzieje doniosłe
i więcej nie lżawe —
TYSIĄCE WALECZNYCH BUDUJĄ WARSZAWĘ.

BRATERSKI UŚCISK



Polscy żołnierze przekazują bohaterom Korei znaczki ZMP dla żołnierzy koreańskich. (fot. WAF)

W SZKOŁACH ROZPOCZĘŁY SIĘ LEKCJE...



Ania Rudnicka z kl. II B wita się z nauczycielką po powrocie z wakacji (fot. „Świat“-Kosidowski)



Jakże miło znów znaleźć się razem w pięknej, nowej szkole TPD! (fot. WAF)

W SESJA MIĘDZYNARODOWEGO ZWIĄZKU STUDENTÓW



Nie zna granic, ni kordonów... Z 80 krajów przyjechali na obrady warszawskie de-

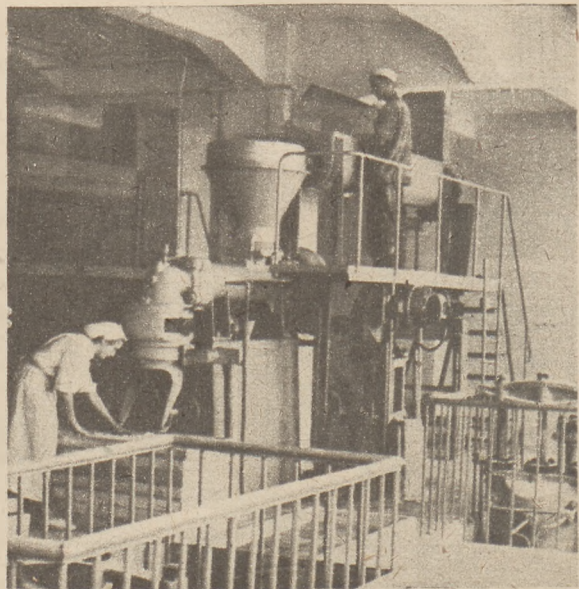
legaci studentów walczących o pokój, o poprawę warunków nauki i życia. (fot. WAF)

BUDOWA CEMENTOWNI W REJOWCU



Godnie reprezentuje cieślów lubelskich brygada B. Krupińskiego osiągając 200% normy. (fot. CAF)

NA 68 DNI PRZED TERMINEM



We Wrocławiu odbudowano makaroniarnię o wydajności 3 największych w kraju fabryk. (fot. WAF)

WIEC PROTESTACYJNY W RANGOONIE



Robotniczo-chłopska partia Burmy zwołała w stolicy kraju, Rangoonie, wielki wiec, na którym przywódcy partii wyrazili ostry protest przeciwko podjętej przez Stany Zjednoczone próbie narzucenia traktatu pokojowego z Japonią, prowadzącego do odrodzenia faszyzmu i militarizmu japońskiego pod opieką USA. (INP).

WALKA O NAFTĘ IRAŃSKĄ TRWA



Na ulicach Teheranu odbyły się nowe masowe demonstracje przeciwko wszelkim próbom kompromisu w sprawie irańskiej nafty. Rząd wysłał przeciwko demonstrantom policję, ale nie odważył się pójść na ustępstwa wobec brytyjskich nacisków. (INP).

BEZROBOCIE W NIEMCZECH ZACHODNIICH



Przed urzędem pośrednictwa pracy w Hamburgu ustawiają się co dnia długie kolejki bezrobotnych, nadaremnie szukających zatrudnienia. Tak samo dzieje się w innych miastach Trizonii.

NA ŚLADACH AMERYKAŃSKIEJ PROWOKACJI



Oficerowie łącznikowi koreańskiej armii ludowej, na miejscu pogwałcenia strefy neutralnej w Kaesongu, badają ślady prowokacji amerykańskiej. Amerykańscy oficerowie uchylili się od udziału w dochodzeniu, powodując zawieszenie rokowań o rozejm w Korei. (INP)

AFRYKA POŁUDNIOWA W WALCE O POKÓJ



Byli żołnierze południowo-afrykańscy, którzy uczestniczyli w bojach drugiej wojny światowej, demonstrowali na ulicach Capetown (Unia Południowo-Afrykańska) na rzecz zawarcia Paktu Pokoju między pięciu wielkimi mocarstwami, przeciwko podżegaczom wojennym.

GEN. NAM IR

przewodniczący delegacji koreańskiej w Kaesong, napiętnował prowokacyjne postępowanie najeźdźców amerykańskich, którzy dążą do zerwania rokowań o zawieszenie broni w Korei. Między 23 a 30 sierpnia samoloty amerykańskie 25-ciokrotnie pogwałciły strefę neutralną pod Kaesongiem. 1 września amerykańscy piraci powietrzni zrzucili bomby w sąsiedztwie kwatery gen. Nam Ira. (Fot. INP)



BIERZE SIĘ DZIURĘ...

O OPONACH SAMOCHODOWYCH I ROWEROWYCH
PRODUKOWANYCH W „STOMILU“

JAN DĄBROWSKI — Zdjęcia: Z. MAŁEK



BIERZE SIĘ dziurę, owija płótnem, oblepia gumą i... nakłada na koło samochodowe gotową oponę — tak można by strawestować starą anegdotkę o produkcji obwarzanków z dziur, oblepionych ciastem.

Gdyby... Gdyby nie to, że w fabryce „Stomil“ produkcja opon i dętek, zarówno rowerowych, jak i samochodowych wygląda zupełnie inaczej.

Z czego robi się oponę? Z gumy. A gumę? Z kauczuku. A kauczuk? Otóż kauczuk — to przede wszystkim pocziwa żywica z drzewa gumowego, którą w podzwrotnikowych krajach zbierają smagli niewolnicy pod batem imperialistycznych kolonizatorów. Ale to także i kauczuk sztuczny, kauczuk syntetyczny, który nie tylko otrzymujemy od naszych sąsiadów ZSRR i

NRD, ale również częściowo wyrabiamy sami.

ZACZYNA SIĘ OD... KARTOFLI

Surowcem wyjściowym do wyrobu kauczuku syntetycznego jest np. alkohol, a więc nasze pocziwe kartofelki. Inna metoda produkowania kauczuku, tzw. buny, opiera się na acetylenie, a więc karbidzie, tj. w ostatecznym rachunku na naszym nieocenionym węglu.

I chociaż śmieszne by było wejść do sklepu i powiedzieć uroczej ekspedientce ze znaczkiem MHD:

— Proszę o ćwierć litra opony.

Lub odezwać się do siarczystego górnika:

— Hanslik! Urąbcie mi tęgi kawał węgla. Właśnie mi kicha do reszty nawaliła! — to przecież możemy powie-

dzieć, że jeździmy — właśnie na kartoflach i węglu.

O węglu przypominają nam podczas wędrówki poprzez fabrykę czar-ni, usmoleni niby kominiarze czy górnicy, robotnicy wielkiej hali, gdzie walcuje się kauczuk. Do kauczuku bowiem dodaje się sporo sadzy, i to wcale nie dlatego, aby opony miały piękny matowo - szary kolor, ale dlatego, że sadza „wypełnia“ kauczuk, usztynnia go.

MILIONY Z JEDNEJ NITKI

Z tego wszystkiego o czym mówiliśmy można by już robić dętki. Ale do produkcji opon potrzebujemy jeszcze tkaniny, bowiem w oponie właśnie owa tkanina „pracuje“, guma zaś ochrania ją przed starciem. Tkaniny używane do wyrobu opon, to specjalny sztuczny jedwab lub bawełniana ro-

gózka. Ostatnio stosuje się również sztuczne tkaniny.

I z tymi tkaninami cała sprawa. Przede wszystkim okazało się, że można — bez zmniejszenia wytrzymałości opony używać ich mniej. O jedną nitkę osnowy mniej.

Jedna nitka? A cóż to za oszczędność? Proszę sobie policzyć, ile po Polsce jeździ rowerów, ile samochodów. Zrozumiecie wówczas, że w fabryce „Stomil“ każda oszczędność, choćby jednostkowo najmniejsza, doprowadza do zaoszczędzenia sum idących rocznie w miliony.

— Dlatego też w fabryce „Stomil“ kładzie się ogromny nacisk na oszczędności, na usprawnienia. Nie tylko laboratorium — dziwne laboratorium, bo nie wypełnione retortami i tyglami, lecz miniaturowymi maszynami — dba o coraz to nowe ulepszenia składu substancji surowej. Nie tylko klub racjonalizatorów z energicznym inżynierem Kordianem Warduszką głowi się nad rozwiązaniem tysiąca spraw i zagadnień produkcyjnych. Ale cała załoga ożywiona jest duchem wynalazczości, pragnieniem wniesienia swojego wkładu w metody produkcji.

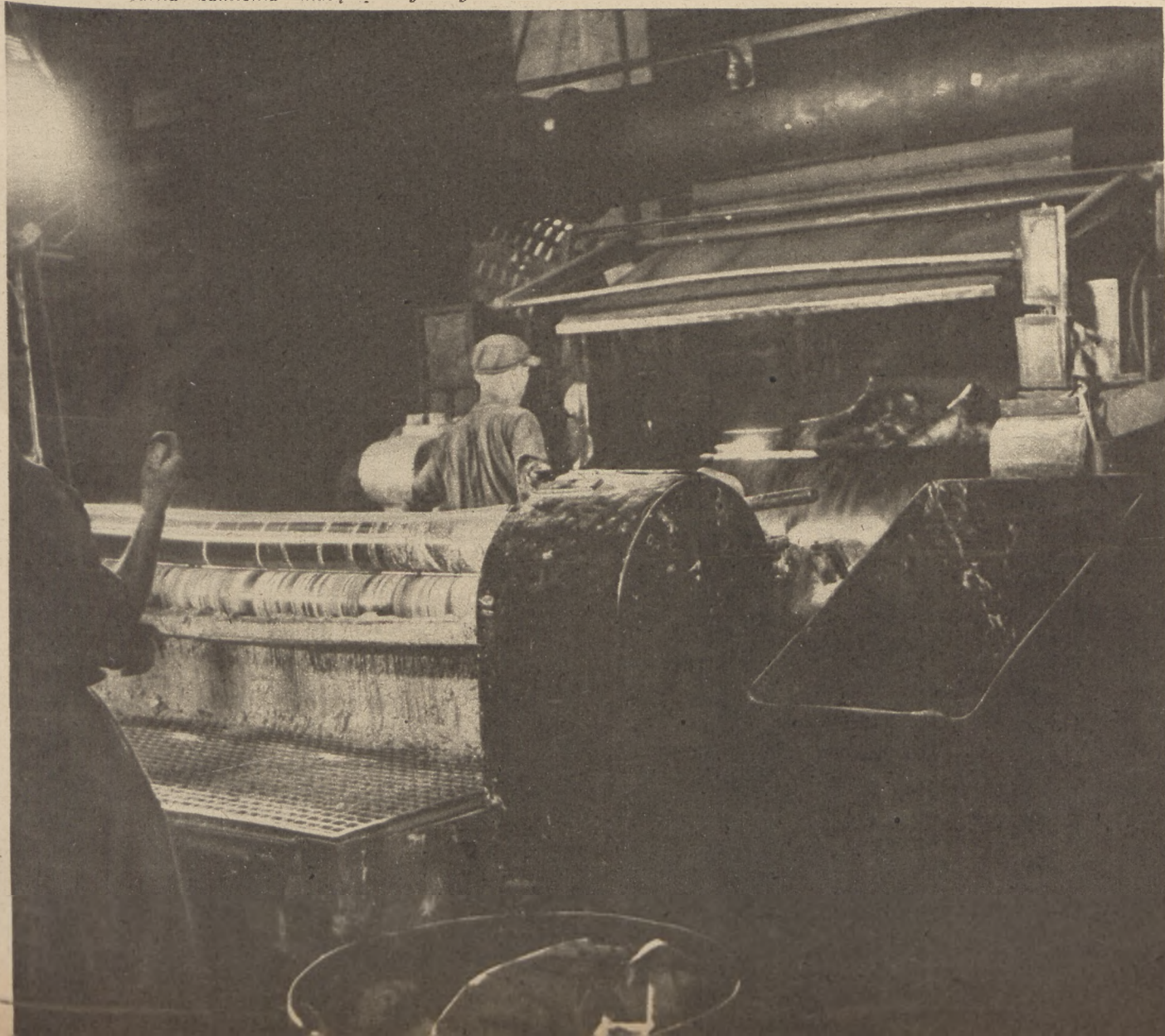
I właśnie dlatego Stanisław Krajewski, brygadzysta na oddziale dętek rowerowych tak długo medytował, próbował i nalegał, aż zdołał przyspieszyć obroty wytłaczarki dętek, dzięki czemu zostało przyspieszone wykonanie planu rocznego o 2 miesiące. Premię racjonalizatorską nota bene Krajewski oddał na odbudowę Warszawy.

Właśnie dlatego, gdziekolwiek idziemy przez fabryczne hale, spotykamy się z racjonalizatorami. 15 usprawnień ma na swoim rachunku Ludwik Piekuta, mistrz oddziału opon rowerowych, 11 usprawnień — Piotr Bujny, brygadzysta na pasach i transporterach. Ba, nawet uczennica 2 klasy gimnazjum przemysłowego „Stomilu“, Maria Lewandowska wynalazła bardzo pomysłową obrotnicę, która wiele trudu oszczędzi konfeksjonerom transporterów kopalnianych.

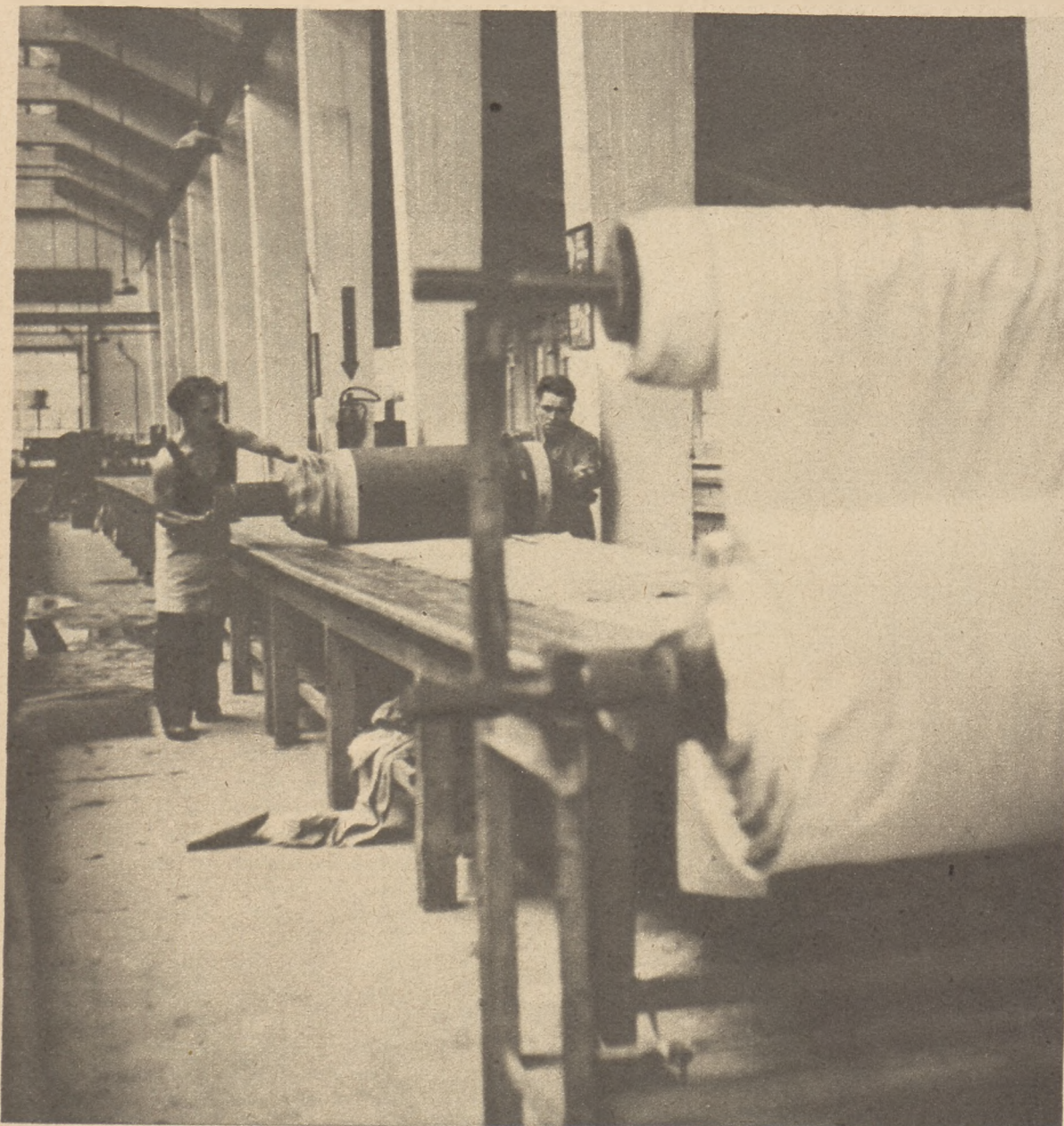
ZAŁOGA WYNALAZCÓW

W warsztacie mechanicznym spotykamy brygadę ślusarza Karalusa, której zadaniem jest tylko i jedynie realizowanie usprawnień. Prawdziwie twórcza to brygada, która bez dostatecznej dokumentacji technicznej, wlot nieraz chwytając pomysł wynalazcy, realizuje jedno po drugim

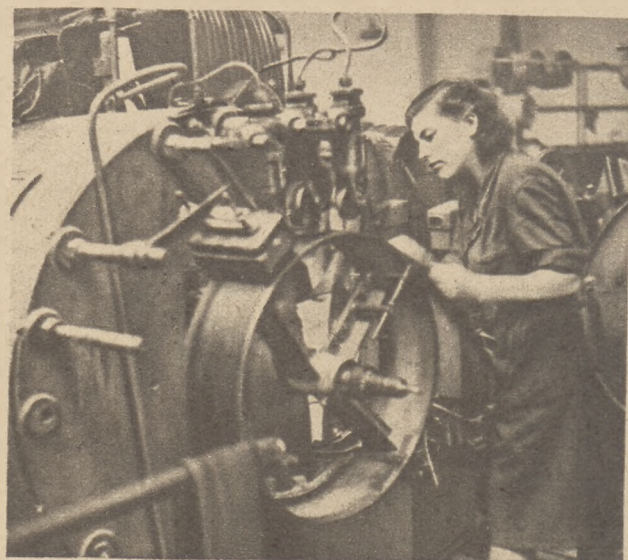
Potężna walcarka zamienia masę plastycznego kauczuku w czarną taśmę, z której potem powstaną opony i dętki.



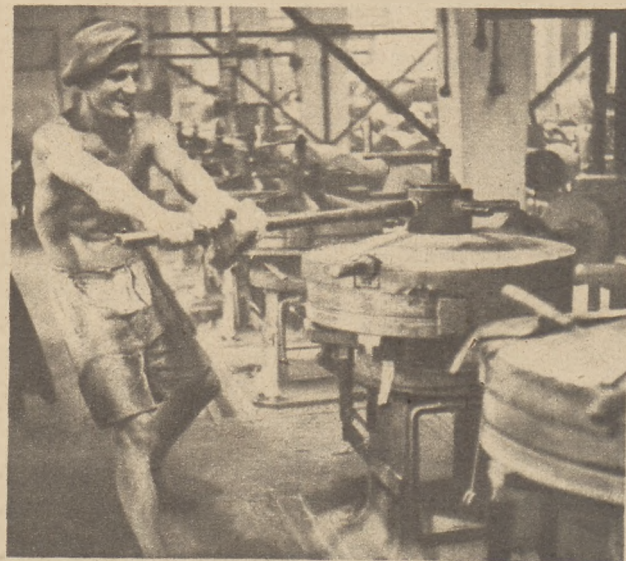
Dokończenie na str.



Niby wielki chodnik wygląda tkanina przygotowana do konfekcjonowania taśmowego transportera.



Przodownica pracy obywatelka Janina Szczepańska zatrudniona przy maszynie konfekcyjnej opon rowerowych osiąga coraz to większe normy.



Dziewięć gorących pras, wytłaczających bieżniki na oponach rowerowych, obsługuje Stanisław Peta. Jego koledzy dają sobie radę zaledwie z czterema prasami.

Dokończenie ze str. 5

usprawnienie, jeden po drugim robotniczy wynalazek.

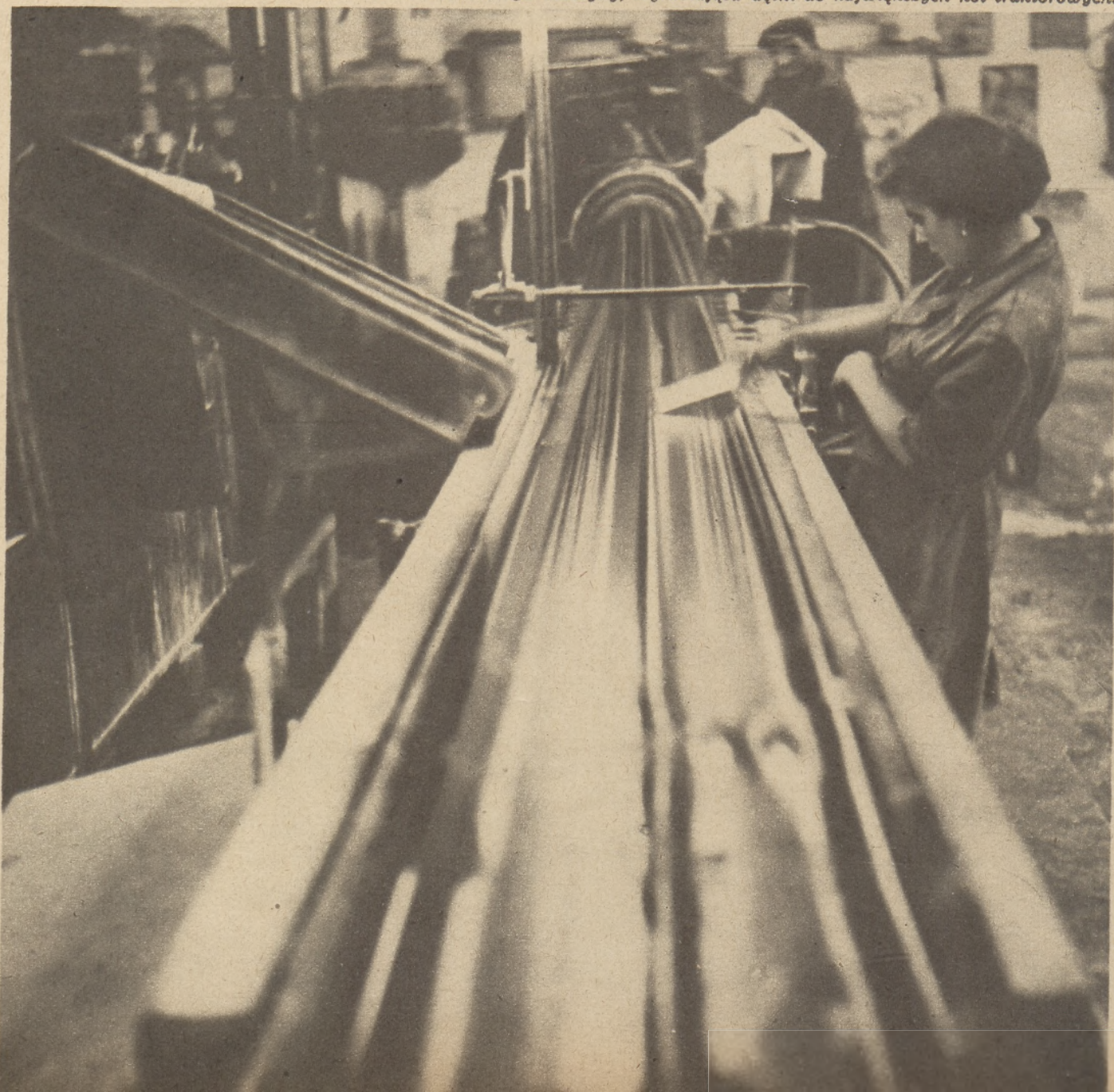
Gdyby powiedzieć o robotnikach „Stomilu” — „załoga wynalazców”, to trzeba by jeszcze przypomnieć, że niemal całe kierownictwo fabryki, wszyscy prawie majstrowie i przełożeni działów — to starszyzna techniczna z awansu społecznego, poczynając od dyrektora fabryki Piotra Jewpaka, kiedyś robotnika tej samej fabryki.

A zatem: bierze się dziurę... Nie! Bierze się formę. Formę — zrobioną na własnym warsztacie mechanicznym, trzykrotnie mniejszym kosztem niż dawniej, u obcych — i wkłada się do niej oponę. Prasa zaciska formę i po chwili, jeśli chodzi o rower, a po kilku godzinach, jeśli chodzi o opony samochodowe, wyjmuje się z pod tej prasy gorącą, świeżą oponę, z pięknie wytłoczonymi karbami na bieżniku („protektorze” — jak chcą koledzy kierowcy).

Ale to jest już operacja ostatnia. Długo można przyglądać się jak wykonuje ją przodownik Stanisław Peta, który na oddziale opon rowerowych sam jeden obsługuje 9 pras, podczas gdy jego koledzy doszli najwyżej do czterech. Gibkimi, zwinnymi ruchami wtlacza w oponę krążek rozprężny, wrzuca ją do formy, zaciska zamek długim drażkiem dźwigowym.

By Peta mógł tak wydajnie pracować, funkcjonuje najpierw w kącie sali maszyna dziwnie podobna do gilotyny. „Wymagam opieki, bo jestem twoim żywicielem” czytamy napis na tabliczce przywieszanej do jej ramy. Maszyna ta odcina skośne kawałki

Nad maszyną proporczyk ZMP. To młodzieżowa obsługa maszyny, wyrabiająca dętki do największych kół traktorowych.



gumy, które potem idą do maszyn konfekcyjnych, gdzie tkanina i guma oraz „skrzydełka” opony (zwane przez naszych cyklistów „fartuchem”) łączą się w jedną całość. Reszta dokonuje się właśnie w owych gorących prasach.

TOCZ SIĘ OPONO!

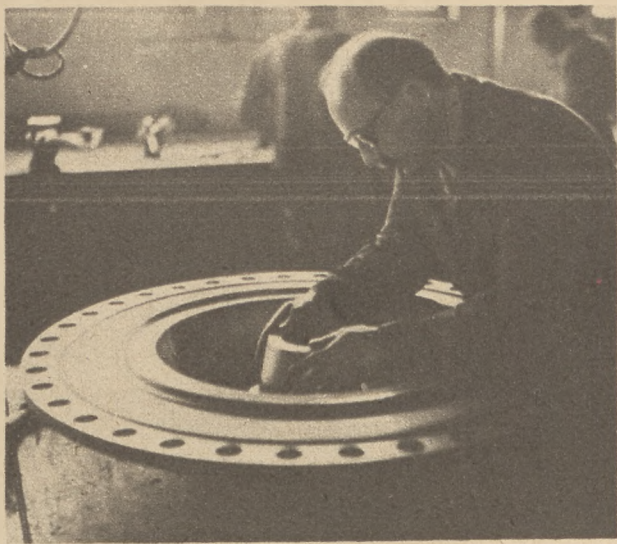
Podobnie z oponami samochodowymi: niemal na metr szeroki rękaw tkaniny nakłada się na bęben, zawiąza brzegi, a następnie powleka gumową powłoką z odpowiednim zgrubieniem na uformowanie „bieżnika”. Rurę tę spłaszcza z sykiem i hukiem prasa zwana „eksponderem”, by opona mogła wejść swobodnie do formy, która ją — tak jak jej rowerową siostrzycę — wytłoczy ostatecznie.

Mijamy halę za halą. Syczą ekspondery, warczą niby kołowrotki maszyny konfekcyjne, lśni szeroki pas plastycznego kauczuku na hali walcarek. Z dnia na dzień szybciej, lepiej, taniej pracuje „załoga wynalazców”, coraz to nowe trudności rozwiązuje laboratorium. Coraz to nowe opony idą do magazynu, idą na badanie do oddziału kontroli, by później zacisnąć się na samochodowej „földze” lub rowerowej obręczy i toczyć się, toczyć...

„Stomil” głosi nazwa fabryki. Ale sto mil to za mało. 40 tysięcy kilometrów przebiega przeciętnie polska opona, zanim zetrze się bieżnik, zanim trzeba oddać ją znowu do „protektowania” czyli używając polskiego określenia, jak to chwalebnie czyni z wielkim staraniem cała załoga „Stomilu”, do nałożenia nowego bieżnika.

Na nowe mile, nowe kilometry.

JAN DĄBROWSKI



Bierze się dziurę... Nie, bierze się formę! Ale trzeba ją najpierw zrobić. A tą pracą w dziale mechanicznym, zajmuje się obywatel Franciszek Remlajn.



Aby rura, która ma być oponą zmieściła się w formie wulkanizacyjnej spłaszcza się ją pod ciśnieniem wielu atmosfer w maszynie zwanej „eksponderem”.



Opona w pierwszej fazie produkcji — to przede wszystkim tkanina. Później dopiero na specjalnym kalandrze oblepi ją czarna masa kauczukowa. „Stomilki” są już prawie gotowe.

Brygada ślusarza Karalusa zajmuje się wyłącznie realizowaniem usprawnień, projektowanych przez „załogę wynalazców”. Praca trudna, ale ileż daje zadowolenia.





CZY TEN PIĘKNY OKAZ O NIEWINNYM SPOJRZENIU JEST NAPRAWDĘ... CHYTRY JAK LIS?

PUSZYSTE WSPÓŁZAWODNICTWO

HODOWLA zwierząt osiągnęła wysoki poziom w niektórych naszych P.G.R-ach.

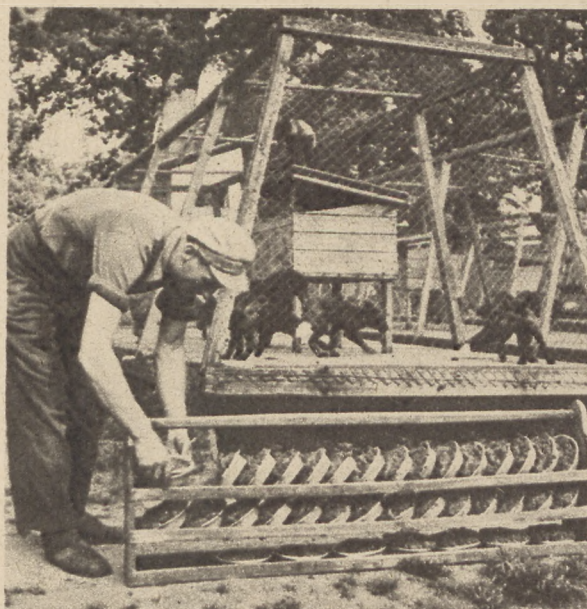
To, co w warunkach hodowli indywidualnej na małą skalę było niemożliwe — realizuje się w Państwowych Gospodarstwach Rolnych. Hodowcy mogą się poszczycić pięknymi okazami, które — w wypadku bohaterów naszego fotoreportażu — stają do współzawodnictwa o miękkość sierści lub o puszystość ogonów.

W P.G.R. w Pilichowicach na Dolnym Śląsku hoduje się bobrzyki, zwierzęta futerkowe zbliżone do nutrii. W hodowli jest obecnie 850 sztuk. Plan roczny przewiduje 370 sztuk nowowyhodowanych zwierząt i sprzedaż stu skór surowych.

W Nałęczowie hoduje się lisy, które — jak widać z fotografii — mogłyby stanąć do lisiego konkursu piękności.



Jak wam się podoba piękny okaz hodowli PGR?



Lisie posiłki są wymierzone i podawane z komfortem.



Gdybyś wiedział, że kiedyś staniesz się futerkiem!



Wczasy dla bobrzyków trwają przez cały rok.



Kierownik hodowli chwali się pięknym okazem.



Jak widać suczka została przyjęta do lisiej sielanki.

BRUDNA WOJNA W VIETNAMIE

W NOWYM JORKU mówi się bardzo wiele i bardzo głośno o wolności i o obronie zachodniej cywilizacji.

W Paryżu mówi się bardzo wiele o demokracji i o obronie zachodniej kultury.

Bardzo daleko, bo aż do Vietnamu, na Daleki Wschód wybrali się amerykańscy i francuscy imperialiści, by „bronić” zachodniej cywilizacji i zachodniej kultury. Obrony tej dokonują — rzucając bomby na miasta i wsie Vietnamu, torturując żołnierzy walczących o wolność i pokój dla swego kraju, mordując dzieci. Od lat toczy się w Vietnamie walka, w której agresorowi idzie o zabezpieczenie sobie kolonialnej eksploatacji i pozycji strategicznych w Azji — a narodowi vietnamskiemu o prawo do życia i pokoju. Demokratyczna Armia Wietnamska zadaje ciężkie straty kolonizatorom, którzy ani bombardowaniem, ani mobilizacją coraz to nowych oddziałów, nie są w stanie złamać oporu narodu broniącego słusznej sprawy.

Słusznej sprawy w Vietnamie bronią jednocześnie demokratyczne siły Francji z Komunistyczną Partią na czele. Hasło „Precz z brudną wojną w Vietnamie” jest dziś hasłem ogromnej części narodu francuskiego. Wielu uczestników kolonialnego wojaka przechodzi na stronę Armii Wietnamskiej. Wielu żołnierzy francuskiej Legii Cudzoziemskiej różnych narodowości zbiega z oddziałów. Jak wojna na Korei — tak wojna w Vietnamie otwiera wiele oczu na świecie.

Ludzie Trumanów, Reynaudów i Mochów zamykają do więzienia Henri Martin'a, domagającego się zakończenia „brudnej wojny” w Vietnamie. Ale narody domagają się kresu imperialistycznego barbarzyństwa. Ludzkie pragnienie wolności i sprawiedliwości nie da się bowiem zamknąć w więzieniu.



ARTYLERIA NAJEŹDZCÓW FRANCUSKICH ROZPOCZNIE ZA CHWILĘ DZIEŁO ŚMIERCI I ZNISZCZENIA.



Przedstawiciele Wietnamu prowadzą rozmowy z przedstawicielami Kambodży i Laosu.



Statek „Oregon” przywiózł do Algieru rannych żołnierzy francuskich.

Grupa partyzantów z Laosu wśród mieszkańców jednej z tamtejszych wsi.



Vietnamczycy, którzy podpisali Apel Światowej Rady Pokoju.



KONFIDENT „S”

na służbie H. K. — Stelle

JAK POWSTAŁY „LEGIONY” PIŁSUDSKIEGO?

NATYCHMIAST po powrocie postanowiłem wezwać do siebie Piłsudskiego. Sądję jednak, że zanim omówię wypadki, które po konferencji u Rongego nastąpiły, winien jestem czytelnikowi kilka słów wyjaśnienia, odnośnie do mojej propozycji, zawierającej się w tych trzech cyfrach: 3.000 karabinów, 300 kg ekrazytu i 20.000 koron.

Realna ocena sił PPS musiała zmienić poważnie moje plany wykorzystania tej partii, a trzeba było przecie jak najprędzej wykorzystać związki strzeleckie. Nie mogłem przecież pozostawić Piłsudskiego bez jakiegokolwiek konkretnego zadania. Po szeregu rozmów z nim, ustaliłem pewien program minimalny, który na wypadek zaostrzenia sytuacji między Austro-Węgrami a Rosją, winien był być wcielony w życie.

BOJÓWKI PIŁSUDSKIEGO I ICH ZADANIA

Ustaliłem wtedy, że Piłsudski zorganizuje z najlepszych ludzi, należących do „Związku Strzeleckiego”, bojówki, a następnie tych ludzi przeszkoli i skoncentruje ich w pewnym miejscu, aby można ich było w odpowiedniej chwili wykorzystać. Jakże cele stawiałem w planach przed tego rodzaju bojówkami? — Były to cele bardzo konkretne, nad którymi długo się zastanawiałem:

a) dywersja we wschodniej części węzła warszawskiego Warszawa — Mińsk Mazowiecki, tj. na drogach kolejowych, wiodących do Wilna, Siedlec, Białegostoku, Brześcia,

b) dywersja w rejonie Łuków — Lublin, gdzie, jak nam było wiadomo, koncentrowały się dwie armie rosyjskie,

c) dywersja w rejonie Radom — Ostrowiec, tj. w węzle Iwangorod (Dęblin) — Sandomierz — Ostrowiec (rejon, w którym koncentrowała się czternasta dywizja jazdy),

d) uzyskanie w tych wszystkich rejonach obserwatorów, którzy mieli mi o wszystkim komunikować poprzez PPS.

Ta ostatnia sprawa była bardzo ważna, chodziło bowiem o zorganizowanie specjalnej drogi wywiadowczej z Kongresówki do Krakowa. Obserwatorzy ci mieli nam podawać te wiadomości, które wywiad zawsze interesują: materiały dotyczące ruchu wojsk, mobilizacji, składów broni, żywności itd. itd.

W rezultacie mojej rozmowy z Rongem, już po kilku dniach przyszła do Krakowa broń i pieniądze. Ekrazyt zdeponowałem w krakowskim magazynie amunicji, pieniądze złożyłem w oddziale „Żiwnostenska Banka” przy ul. Floriańskiej i w Banku Spółek Zarobkowych na Rynku. Karabiny zaś rozdzieliłem po 50 do 100 sztuk i umieściłem je na poszczególnych posterunkach żandarmerii w rejonie Trzebiń, Krzeszowice, Chrzanów, Skawina, to jest w rejonie, w którym w razie potrzeby planowałem skoncentrować bojówki „Strzelca”.

Posterunki te znajdowały się w pewnej odległości od granicy. Graniczne zaś posterunki żandarmerii przechowywały normalnie broń dla Landsturmu (pospolite ruszenie) na wypadek zaatakowania przez wroga granicy, tak, że proponowane przeze mnie miejsca koncentracji bojówek

znajdowałyby się w wypadku wojny do pewnego stopnia pod osłoną Landsturmu.

PIŁSUDSKI — OSOBA NIE DOŚĆ KOMPETENTNA

Wreszcie wezwałem do siebie Piłsudskiego. To, co kiedyś było jedynie w sferze planowania, należało teraz wcielić w życie. Przypomniałem mu o moim „planie minimum” i zapytałem, czego oczekuje ode mnie, i ja-



Józef Haller spełniał w Przemysłu te same funkcje, co Piłsudski w Krakowie.

kiej pomocy pragnie na wypadek ogłoszenia „wzmóżonej działalności” wywiadu, tzn. na wypadek, gdy trzeba będzie mój plan realizować.

Po chwili namysłu, Piłsudski z westchnieniem oświadczył mi, że w tak ważnej sprawie sam, na własną rękę, decyzji podejmować nie może.

— Trzeba — powiedział — tę sprawę postawić na CKR*) i przedyskutować. Obiecał, że za kilka dni przyjdzie z kimś bardziej kompetentnym na konferencję i w dwójkę dadzą mi szczegółową odpowiedź.

Faktycznie, po kilku dniach zjawił się u mnie Piłsudski w towarzystwie jakiegoś bardzo eleganckiego i bardzo brodatego pana, którego mi przedstawił jako towarzysza Jodko — Narkiewicza. Piłsudski nie poprzestawał jednak na samym wymienieniu nazwiska mojego gościa. Chcąc mi zaimponować, dodał, że Jodko — Narkiewicz mieszka stale w Wiedniu i utrzymuje kontakt z klubem polskim i że w jego mieszkaniu spotykają się często posłowie do parlamentu, oficerowie sztabu, przywódca PPS i PPSD, itd.

(Na marginesie chciałbym dodać, że metoda bluffu, błagi, zastraszania była bardzo chętnie używana przez Piłsudskiego. Tak było na przykład, kiedy opowiadał o olbrzymiej sile PPS w Kongresówce, na którą nasz wywiad może liczyć, tak było już później w 1914 roku, kiedy sfingował istnienie „rządu narodowego” w Warszawie, tak było, kiedy mi przedstawił Prystora, tak było, kiedy mi przedstawił Jodko — Narkiewicza, itd. Podobnych przykładów z późniejszej działalności Piłsudskiego można by mnożyć dziesiątki.)

Niewzruszony bynajmniej tą rekomendacją, zaprosiłem obu gości, by usiedli przy moim biurku i przede wszystkim zapoznałem ich — w miarę możliwości oczywiście — z najważ-

niejszymi zagadnieniami aktualnej polityki wywiadowczej, jakie już stoją i jakie lada chwila staną przed nami, szczególnie w związku z koniecznością rychłej, być może, realizacji mego planu. Na zakończenie swego referatu zapytałem Piłsudskiego i Jodkę, czego im trzeba, by byli całkowicie — gdy zajdzie potrzeba — przygotowani do działania.

KONFIDENCI CIERPIĄCY NA MANIĘ WIELKOŚCI

Jodko, nie namyślając się wiele, wypalił z miejsca:

— Potrzeba nam 100.000 koron!

Gdy Piłsudski usłyszał tę odpowiedź, skoczył na równe nogi.

— Wykluczone — zawołał — wykluczone! 100.000 koron, to jest nic w naszej sytuacji. Poza tym potrzebne są specjalne prerogatywy dla mnie, zagwarantowane umową z austriackim Sztabem Generalnym...

Słyszałem, że kiedyś Piłsudski miał podobno powiedzieć do Sosnkowskiego: — Ach, być przez jeden dzień dyktatorem w Polsce... Przez jeden dzień...

Mam wrażenie, że i w tym momencie ogarnął Piłsudskiego jeden z częstych przypływów megalomanii. On, nie reprezentujący prawie niczego, albo bardzo mało, (powiedziałem mu kiedyś, że reprezentuje jedynie emigrację PPS-owską w Londynie, Wiedniu i Liège) chciał zawierać umowę ze sztabem austriackim, jemu, mojemu konfidentowi śniły się jakieś prerogatywy.

Ale przede wszystkim o jakie prerogatywy chodziło? Domyśliłem się, że myśli o pewnych uprawnieniach wojskowych, a może nawet politycznych, związanych z oderwaniem Kon-

gresówki i przyłączeniem jej do korony Habsburgów... W każdym razie cokolwiek by jego żądania znaczyły, były one śmieszne. Nie chcąc jednak Piłsudskiego upokarzać, w odpowiedzi na jego propozycję oświadczyłem, że w tej sprawie zabierać głosu nie mogę, nie będąc do tego upoważniony. Zresztą — dodałem — można będzie sprawę tę zostawić na później.

Moje stanowisko poparł Jodko — Narkiewicz, uważając również, że przede wszystkim należy przystąpić do działania, a szczegóły omówione będą później. W rezultacie doszło między nimi nie tylko do wymiany zdań, ale wręcz do lekkiej kłótni tak, że musiałem opuścić pokój, aby dać obu panom do zrozumienia, że zdecydowanie przekraczają ramy mojej gościnności.

Gdy wróciłem do pokoju, obaj goście moi byli już uspokojeni. Niemniej jednak stanowisk swoich nie uzgodnili, tak że musieliśmy się rozejść bez konkretnych rezultatów.

Upłynęło kilka dni od tej nie bardzo udanej rozmowy. Po dłuższym zastanowieniu doszedłem do wniosku, że nie ma potrzeby układać się z Piłsudskim czy innym członkiem CKR o całość mego planu, że nie ma potrzeby likwidować te, czy inne głupie osobiste ambicje, skoro mój plan mógł być wykonany równie dobrze etapami.

Poprosiłem więc do siebie najpierw Sławka. Zakomunikowałem mu, że mam dla niego, a właściwie dla Związku Walki Czynnej prezencik w postaci 300 kg ekrazytu. Ekrazyt ten trzeba — jak mu powiedziałem — przetransportować jak najszybciej

Dokończenie na str.



Grupa konfidentów H. K.-Stelle we Lwowie. (X). — Adam Koc, późniejszy „wódz” faszystowskiego Obozu Zjednoczenia Narodowego (OZON).

*) Centralny Komitet Robotniczy — kierownicze ciało ówczesnej PPS (przyp. red.).

do Warszawy w celach dywersyjnych. Sławek ekrazyt przyjął i, jak się później dowiedziałem, przetransportował go w furze z gęsiami przez granicę. Znaczna część tego ekrazytu została użyta, nie teraz, lecz w kilkanaście miesięcy później, w chwili wybuchu I wojny światowej, do wysadzenia, zgodnie z moim planem, różnych punktów mniej lub więcej ważnych, we wschodniej części węzła warszawskiego. Miało to wówczas raczej znaczenie moralne, niż strategiczne.

Tak więc, oddawszy ekrazyt Sławkowi, załatwiłem jedynie część mego planu. Następnie znowu zaprosiłem do siebie Piłsudskiego. Tym razem zabrałem się do niego z innej beczki. Przemówiłem mu do sumienia.

POTRZEBNI SĄ KONFIDENCI ZA GRANICĄ...

Zacząłem od tego, że wyraziłem zdumienie z powodu stanowiska, jakie zajął na poprzedniej konferencji. Następnie przypominałem mu historię naszych kontaktów, historię powstania „Strzelca”. Przypominałem mu usługi, jakie oddał „Strzelec” kontrwywiadowi. Przypominałem wreszcie, i to dosyć ostro, że nadszedł czas, aby „Strzelec” przystąpił do wykonania tych zadań, do jakich został powołany.

— Jest rzeczą łatwą — tłumaczyłem Piłsudskiemu — dobrać odpowiednich ludzi ze „Strzelca”, stworzyć z nich bojówki i na dany przez nas sygnał przerzucić je przez granicę. A tacy ludzie po drugiej stronie granicy są nam bardzo potrzebni. Podawałem mu liczne przykłady jego przyszłej działalności. Oto przekroczy granicę jakaś dywizja kawalerii austriackiej. Potrzebni są konfidenti, którzy by uprzednio zaagitowali chłopów, by oddawali wojskom austriackim owies, by użyczali podwód, potrzebni są konfidenti do informowania o ruchach nieprzyjacielskich armii itd. Tak samo pomocy konfidentów potrzebują oddziały piechoty, które przekraczają granicę. A już najbardziej potrzebni oni będą wyższemu jednostkom wojskowym i ich II oddziałom. (HK- Stela była to jednostka funkcyjna. II Oddział to jednostka etatowa w sztabie w czasie wojny).

Przez cały czas mego przemówienia Piłsudski bębnił palcami po stole i sapał niczym parowóz. Gdy skończyłem, zgodził się z moimi wywodami, przystał na wszystkie moje propozycje, a jako jedyny warunek ich wypełnienia, zażądał dla tych dywersyjnych bojówek polskich odznak i dystynkcji. Nie trudno przyszło i mnie zgodzić się na te warunki, toteż rozeszliśmy się w najlepszej zgodzie. Byłem bardzo zadowolony, że plan mój wchodzi w stadium realizacji i że Piłsudski zrozumiał, iż jego aspiracje były śmieszne, a przynajmniej przedwczesne.

Piłsudski zabrał się szybko do roboty. Odszukał odpowiednich ludzi i rozpoczął z nimi prace przygotowawcze do ich przyszłej działalności. Muszę przyznać lojalnie, że przychodziło do mnie często w owe czasy. We wszystkim się radziłem i o wszystkich trudnościach opowiadałem. A tych trudności miał co niemiara.

TO SAMO ROBIL HALLER

W ogóle trzeba tutaj powiedzieć, że do legend należy twierdzenie, jakoby Piłsudski był komendantem „Strzelca” na całą Małopolskę. Jak sytuacja wyglądała we Wschodniej Małopolsce, wspominałem przedtem. Blżej, w okolicy Przemyśla, podobną robotę prowadził Józef Haller, który prawdopodobnie (piszę prawdopodobnie, bowiem nie jestem w posiadaniu dokładnych wiadomości) albo naśladował Piłsudskiego, dowiedziawszy się o jego działalności, albo, co jest prawdopodobniejsze, został odpowiednio inspirowany przez samego Rongego, albo, być może, przez szefa Głównego Ośrodka Wywiadowczego w Przemyślu, Aleksandra Dzieduszyckiego.

Dalszy ciąg nastąpi

CO MÓWI GEN. MAX RONGE

LEŻY przed nami książka wydana w Wiedniu w roku 1930 pt. „Kriegs-und Industriespionage“ (Szpiegostwo wojenne i przemysłowe), której autorem jest generał Max Ronge.

Kto zacz generał Max Ronge?

Nazwisko to nie jest obce czytelnikom „SWIATA”, śledzącym tok wspomnień gen. Rybaka o „Konfidentie S”.



Gen. Max Ronge

Max Ronge był w okresie poprzedzającym wybuch pierwszej wojny światowej i w czasie jej trwania szefem wywiadu austriackiego, jego współtwórcą i organizatorem.

Służba wywiadowcza Austro - Węgier przybrała właściwe formy organizacyjne dopiero po roku 1908. Do tego czasu pół-oficjalny wywiad prowadzony był przez tzw. Biuro Ewidencyjne przy Sztabie Generalnym w Wiedniu. (Warto przypomnieć, że na czele tego Biura stali w ostatnich latach przed wojną kolejno: Czech — Hordliczka, Polak — Urbansky von Ostrymiecz, Chorwat — Hranilovic). Właściwym wywiadem zajmowała się grupa wywiadowcza przy Biurze Ewidencyjnym, na czele której stał właśnie Ronge. W czasie wojny Ronge uzyskał szlify generalskie i awansował na szefa całego wywiadu.

Książka Rongego stanowi szkic dziejów austriackiego wywiadu wojskowego i trzeba przyznać — bez specjalnej zresztą dumy — że wcale poczesne miejsce zajmują w niej ówczesni przywódcy PPS z Piłsudskim na czele. Ludzie, którzy pseudo-patriotycznym frazesem pokrywali swą współpracę z wywiadem zaborcy. Potem, w okresie międzywojennym, gdy burżuazja i obszarnicy dorwali się do władzy w Polsce i rządy krajem powierzyli Piłsudskiemu i jego ludziom — te haniebne karty przeszłości wódzów sanacji i prawicy PPS były starannie zacierane, aby się o nich nikt nie dowiedział.

Dlatego też pierwsze wydanie książki Rongego zostało na prośbę ówczesnego rządu polskiego — wycofane przez rząd austriacki. Po pewnych korektach ukazało się wydanie drugie, to właśnie, którym rozporządzamy. Ale i ono jeszcze zawiera dość materiału, by przedstawić we właściwym świetle działalność piłsudczyzny w okresie przed pierwszą wojną światową.

Jedną z głównych zasług, jaką sobie i swym podwładnym przypisuje Ronge — to nawiązanie ścisłej współpracy z Polską Partią Socjalistyczną. Wydaje się jednak, że mniejsza w tym zasługa Rongego i wywiadu austriackiego, niż samych przywódców PPS. Jak się te rzeczy odbywały, wiedzą czytelnicy nasi ze wspomnień gen. Rybaka. A oto co ma na ten temat do powiedzenia ówczesny zwierzchnik Rybaka, gen. Max Ronge. Na str. 24 jego książki czytamy:

Die Vernachlässigung des Kundschaftdienstes gegen Rußland

schien um so weniger bedenklich, als sich gerade im Jahre 1906 die Aussicht eröffnete, vor einem Konflikt nach wieder den Konfidentendienst aufleben lassen zu können. Dr. Witold Jodko und Joseph Piłsudski traten im Namen der polnisch-sozialistischen Partei Rußland dem Generalstab im Przemysl Kundschaftdienst für Unterstützung ihrer Bestrebungen als Gegenleistungen an. Wenn man in Wien auch vorläufig nicht gewillt war, auf dieses Experiment einzugehen, so hatte man im Bedarfsfall durch ein Leihen im Feuer.

„Zaniechanie służby wywiadowczej przeciwko Rosji okazało się o tyle mniej szkodliwe w skutkach, że akurat w roku 1906 w obliczu konfliktu wyłoniła się możliwość szybkiego pozyskania usług konfidentów. Dr Witold Jodko i Józef Piłsudski w imieniu Polskiej Partii Socjalistycznej w Rosji (tzn. w ówczesnym zaborze rosyjskim — przyp. red.) ofiarowali sztabowi generalnemu w Przemyślu usługi wywiadowcze w zamian za poparcie ich dążeń. Choć narazie w Wiedniu nie skłaniano się do tego eksperymentu, to jednak w razie potrzeby narzędzie było pod ręką”.

Jak wynika z dalszych wywodów Rongego, sztab austriacki miał początkowo jakieś skrupuły natury moralnej co do wykorzystania usług wywiadowczych Piłsudskiego i jego współpracowników. Być może, że nie ufali jego kwalifikacjom na tym polu, choć Piłsudski miał już niejaki doświadczenie, z współdziałania z wywiadem japońskim.

Ale rozwój wydarzeń zmusił sztab austriacki do szybkiego przewyciężenia przynoszących mu zaszczyt skrupułów, (których nie mieli przywódcy PPS).

Proszę Ronge na str. 50:

Leider hatte man mit den vom Evidenzbüro für den Kundschaftdienst in Rußland aufgenommenen Konfidenten wenig Glück. Nur einer leistete durch Aufnahme wichtiger Objekte an Eisenbahnen und Straßen sehr gute Dienste. Hingegen bewährte sich die Hauptkundschaftsstelle in Lemberg dank der Initiative Tätigkeit des Hauptmannes des Generalstabes v. Iszkowski. Die bedrohliche Lage während der Annexionskriege hatte übrigens auch die Konsulate in Rußland zu größerer Aufmerksamkeit hinsichtlich militärischer Vorgänge angespornt. Schließlich hatte Hauptmann Iszkowski einzelne Leute der polnisch-sozialistischen Partei herangesogen, wobei er gute Erfahrungen machte, so daß man am Ende 1910 die moralischen Bedenken überwand und die Verbindung mit den Konfidenten herstellte, welche die Partei namhaft machte. Auf Bindungen gegenüber dieser ging man aber nicht ein.

„Niestety, nie mieliśmy szczęścia do konfidentów, zaangażowanych przez Biuro Ewidencyjne do służby wywiadowczej w Rosji. Tylko jeden z nich wyświadczył nam poważną usługę swymi fotografiami ważnych obiektów kolejowych i dróg. Dobrą robotą wykazało się natomiast H.K.-Stelle we Lwowie, dzięki pełnej inicjatywy działalności kapitana sztabu generalnego, von Iszkowskiego.. W końcu kpt. Iszkowski wciągnął do roboty niektórych ludzi z PPS, osiągając dobre rezultaty, tak, że pod koniec 1910 roku przewyciężyliśmy moralne skrupuły i nawiązaliśmy ponownie kontakt z konfidentami, wskazanymi przez PPS. Ale nie podjęto w stosunku do nich żadnych wiążących zobowiązań.”

W pierwszym, wycofanym wydaniu książki Rongego, lista usług, wyświadczonej wywiadowi austriackiemu przez konfidentów z PPS i „Strzelca” została dokładnie podana. Nie ma jej, niestety, w wydaniu drugim. Rolę PPS i „Strzelca” wzięły na siebie później „Legiony” Piłsudskiego. Nie spełniły one jednak wszystkich nadziei, jakie z powstaniem ich wiązał wywiad austriacki.

Oto, co pisze na ten temat Ronge:

Auch die Leistungen der polnischen Legionen im Nachrichtendienst blieben weit hinter den Erwartungen und Voraussetzungen zurück. Wir liefen vielmehr Gefahr, daß sich unter den zahlreichen Leuten, die sich in der Schweiz, in Holland und Dänemark zur Legion meldeten, russische Kundschafter einschlichen.

„Osiągnięcia legionów polskich w zakresie służby wywiadowczej pozostały daleko w tyle za oczekiwaniami i przewidywaniami. Co gorsza, wyłoniło się niebezpieczeństwo, że wśród wielu ludzi, zgłaszających się do Legionów ze Szwajcarii, Holandii i Dantii, znajdują się szpiegowie rosyjscy.”

Książka Rongego, który z racji zajmowanego stanowiska, skupiał w swych rękach wszystkie nici roboty wywiadowczej, daje ogólny rzut oka na rolę Piłsudskiego, PPS, „Strzelca” i „Legionów”. Szczegółów zaś dostarcza w swych pamiętnikach gen. Rybak, który był w owym okresie podwładnym Rongego.

* * *

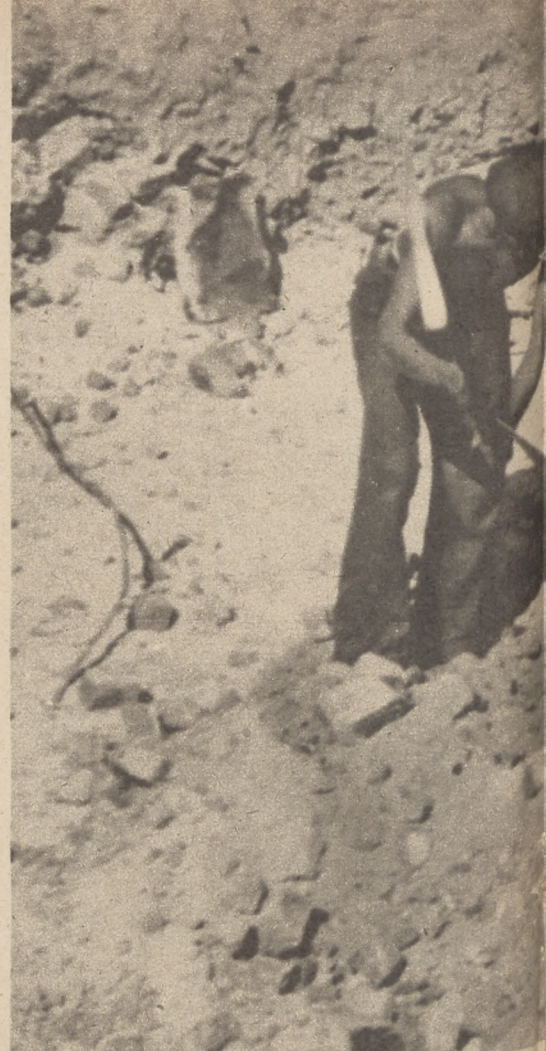
Oto genealogia zdrady narodowej. Zaczęło się od służby w wywiadzie austriackim. Potem była służba w niemieckiej Abwehr-Abteilung. Potem u Beselera. Potem w wywiadzie francuskim. A potem, gdy już powstało państwo polskie — kolejno wysługiwanie się imperializmowi francuskiemu, brytyjskiemu, amerykańskiemu, aż przyszło lajdactwo nad lajdactwami — pakt z Hitlerem, który doprowadził do katastrofy wrześniowej. I znowu obróciło się koło — ci, którzy płaszczyli się przed Hitlerem, poszli na usługi jego spadkobierców waszyngtońskich. Wszystko w nienawiści do klasy robotniczej, do idei, postępu, demokracji, socjalizmu, do rewolucji, do Kraju Socjalizmu, który dwukrotnie przyniósł Polsce niepodległość.

Od Piłsudskiego i piłsudczyzny, w jej sanacyjnym i prawicowo-pepesowskim wydaniu, wiedzie prosta droga do Mikołajczyka, Andersa, Bora-Komorowskiego, Tatara, Kirchmayera i całej szajki szpiegowsko-dywersyjnej, która zaprzedała się dziś amerykańskiemu wywiadowi, tak jak jej poprzednicy zaprzędawali się H.K.-Stelle i Abwehr-Abteilung.

A. M.



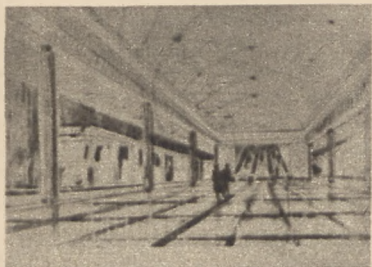
NÓŻ SZYBOWY DO KRAJANIA ZIEMI, ZBROJNEJ W BETON I STAL, WAŻY JUŻ STO TRZYDZIEŚCI TON.



MŁODZI ZMP-OWSCY BUDOWNICZOWIE

WARSZAWSKIE METRO = 40.000 PASAŻERÓW NA GODZINĘ

IAN GRUDA — Zdjęcia: „ŚWIAT”



ROK 1956...

JEST ROK 1956. Jasny sierpniowy poranek. Obywatel Józef Kowalski, pracownik Domu Towarowego na MDM, nerwowo naciska klamkę drzwi wagonu. Pociąg stał trzy minuty pod sygnalem na Pradze i w tej chwili zegarek ob. Kowalskiego wskazuje za siedem minut ósmą. Wreszcie syk hamulców. Pociąg stanął. Konduktor niepotrzebnie i bez przekonania oznajmia stację Warszawa - Gdańska.

Teraz przedziej... Kilkanaście kroków przez peron i... na dół. Józef Kowalski kieruje się ku czelusi ruchomych schodów wiodących w głąb. Nie potrzebuje już gramoli się na wiadukt, wystawać z niecierpliwością na przystanku, staczać walkę o miejsce.

Jest przecież rok 1956 i ob. Kowalski wsiadzie do metra. Wprost z peronu PKP ruchome schody przeniosą go na peron stacji metra „Dworzec Gdański”. Jeszcze minuta czasu. W hallu metra zdążył zapatrzyć się w papirosy i gazetę. Jeszcze kilka sekund i w tunelu błyska światło. Pod peron podjeżdża pociąg. Rozsuwają się drzwi wagonów, pasażerowie wysiadają na jedną stronę, czyniąc miejsce tym, którzy z drugiej strony wsiadają z peronu odjazdowego. Syk kompresorów. Drzwi zamykają się, pociąg metra Zoliborz — Plac Unii Lubelskiej rusza. Po kilku minutach — zabrawszy pasażerów ze stacji Plac Teatralny, Próżna, Dworzec - Śródmieście — zatrzymuje się w sercu MDM. Ob. Kowalski z zadowoleniem spogląda na zegarek. Zdążył...

Tak jak on, — dążą na swoją godzinę i na swoje miejsce pracy dziesiątki tysięcy warszawiaków, zamieszkałych w różnych dzielnicach. Metro przewozi przecież do 40.000 pasażerów na godzinę.

JEST ROK 1951. W surowych komnatkach „Arsenału” wre gorączkowa praca. W jasnych salach Rady Państwa, gdzie znalazło pomieszczenie przedsiębiorstwo „Metroprojekt” pstrzą się na ścianach, na stołach kreślarskich, na stalugach, rysunki, rysunki, jeszcze raz rysunki. Pęcznią szuflady archiwum. Coraz to nowy metr tunelu, coraz to nowa tona żelaza, metr sześcienny betonu znajduje swój przydział, swoje własne miejsce, w które rzuca go świadoma wola twórców tej wielkiej inwestycji.

Ileż zagadnień trzeba było rozwiązać! Ileż rozmaitych wariantów projektu trzeba było rozpatrzyć!

Przecież już w roku 1925 zaczęto w Warszawie snuć projekty metra — Szybkiej Kolei Miejskiej. Projekty — owszem snuto. Rysunki — owszem — sporządzano. Ale gdy przyszło co do czego, nie było funduszy na budowę. Żaden zagraniczny kapitalista nie chciał ryzykować pieniędzy na tak długi czas. Przecież budowę metra obliczono na 35 lat.

Ale nadszedł czas, w którym zamiary mierzymy na własne siły, a nie na zagraniczne kapitały. W małych pokojach pracowni komunikacyjnej BOS-u stworzono nowy projekt metra dla Warszawy socjalistycznej, stolicy socjalistycznego kraju.

Przyjechali radzieccy fachowcy, ci którzy budowali metro moskiewskie i dali wiele rad i wskazówek.

METRO WYSZŁO Z SAL

Wynikiem narad i doświadczenia była koncepcja metra „głębokiego”, porzucenie myśli o płytkich wykopach, o budowaniu „odkrywkowym”.

Projekt „poszedł w głąb”. Metro wryło się w ziemię poniżej wszelkich fundamentów, rurociągów, kabli. Zamiast kopaczy stali się potrzebni górnicy.

Ciężką bo pracę mają przed sobą budowniczowie warszawskiego metra. Wielkie gmachy Warszawy wznoszą się przecie ponad łożyskiem kilku rzek podziemnych i kilku rzek, co jak pocziwa Żurawka, która dała nazwę ul. Żurawiej, schowały się pod ziemią w ciągu wieków rozrostu miasta. Warszawa ma pod sobą olbrzymie złoża tzw. kurzawki—ziemi rozmulonej wodą, rozbełtanego piasku wszelkiego rodzaju i wszelkiej miękkości. A praca pod ziemią tym jest łatwiejsza im grunt jest twardszy.

Trzeba więc osiągnąć ową twardość gruntu. Trzeba od samego początku, od bicia szybów roboczych, którymi zjadą na dół potężne części „tarczy”, walczyć z kurzawką, z wodą. Później, kiedy „tarcza” — olbrzymi odcinek stalowej rury — pocznie wgryzać się w grunt, łąbić metr po metrze właściwy tunel, również nie ustanie walka z wodą.

Ta walka z wodą to przede wszystkim zamrażanie. Walka z miękkim gruntem odbywać się będzie również wedle metody prof. Cebertowicza, przy pomocy zeskalania elektrolitycznego.

BUDOWA WYSZŁA Z SAL

Jest rok 1951. Na miejscu, gdzie powstać ma jeden z szybów roboczych gospodaruje brygadzysta Wilhelm Ślęzak. Od 21 lipca montuje urządzenia do zamrażania. To nie byle co: 33 otwory do mrożenia ziemi, 4 km rur, którymi popłynie mieszanina zamra-

żająca — amoniak, lóg i woda. A rezultat 20° C poniżej zera, ziemia twarda jak cement i swoboda wiercenia, drążenia, kopania bez obawy zalania, bez konieczności stałego, intensywnego wypompowywania wody.

Obok Ślęzaka, Czesław Cukier ze swą brygadą szykuje mechaniczną wiertarkę. Taśma transportera wyrzuca coraz to nowe porcje ziemi, starych cegieł, rumowiska. Brygada ZMP-owska Władysława Bodka kilofami przegryza stare fundamenty. Mimo gorąca wykonuje do 250% normy.

Tuż obok jeszcze poczynają rosnać w górę konstrukcje maszyny wyciągowej. To ona przecież dostarczy na dół, do „komory montażowej” wszystkie części stalowego kreta — „tarczy”, którą lewarami posuwać będą w głąb tunelu w miarę wybierania ziemi. To ona właśnie zrzucić będzie codziennie na dół „tubingi”, części tunelu odlane z żeliwa, z betonu, a czasem może i z topionego bazaltu. To ona dostarczy co 8 godzin na dół załogę, której przypadnie zaszczyt tworzenia tej olbrzymiej inwestycji warszawskiego metra.

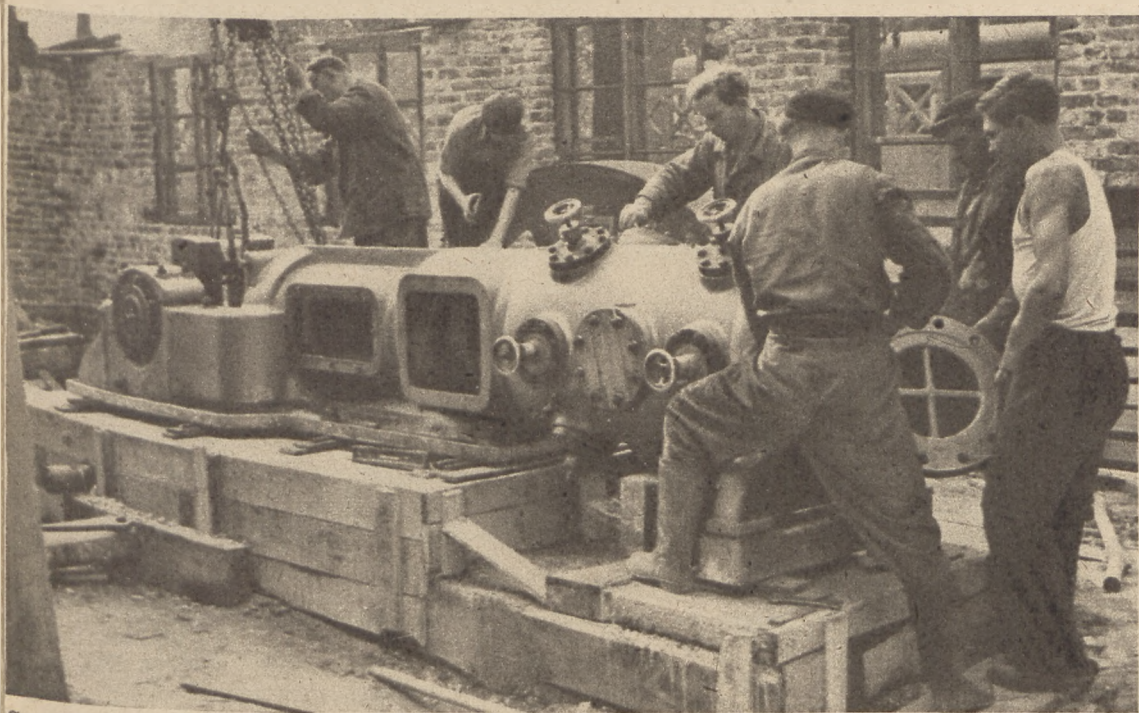
W kilku miejscach Warszawy, tam gdzie za kilka lat ruchome schody będą co chwilę pochłaniać i wyrzucać na powierzchnię tysiące śpieszących do pracy czy do domu mieszkańców stolicy, wznoszą się dziś wiertnicze trójnogi, zgrzytają noże szybowe, wiją się kilometrową płataniną węzownice rur i instalacji zamrażających.

Budowa metra wyszła z sal „Metroprojektu”.

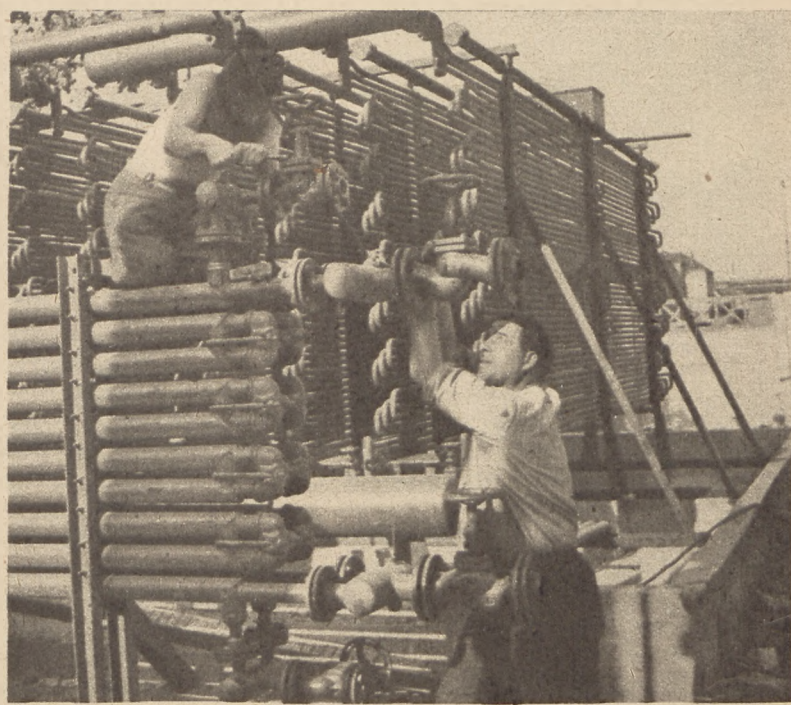
Cyfry obliczeń i linie planów ruszyły w teren.



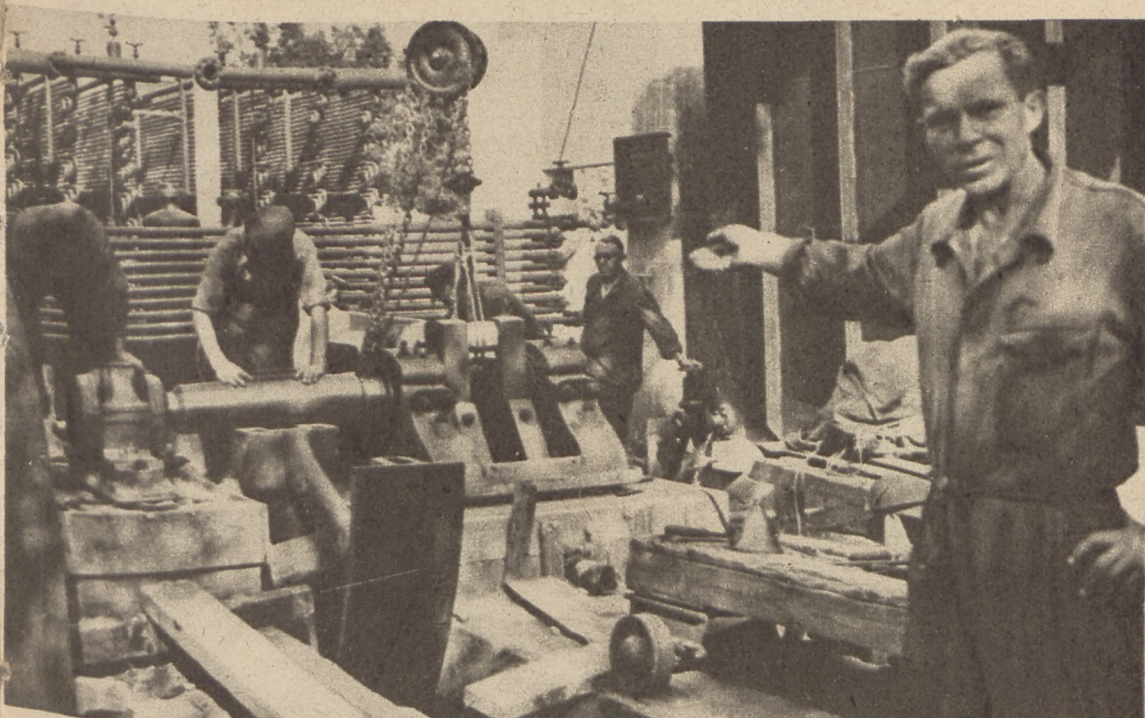
TRZY PRACOWNICY PRZEBIJAJĄ FUNDAMENTY STAREJ WARSZAWY, TORUJĄC DROGĘ SZYBKOBIEŻNEJ KOLEI PODZIEMNEJ. BRYGADA BODKA OSIĄGA 250 PROC. NORMY.



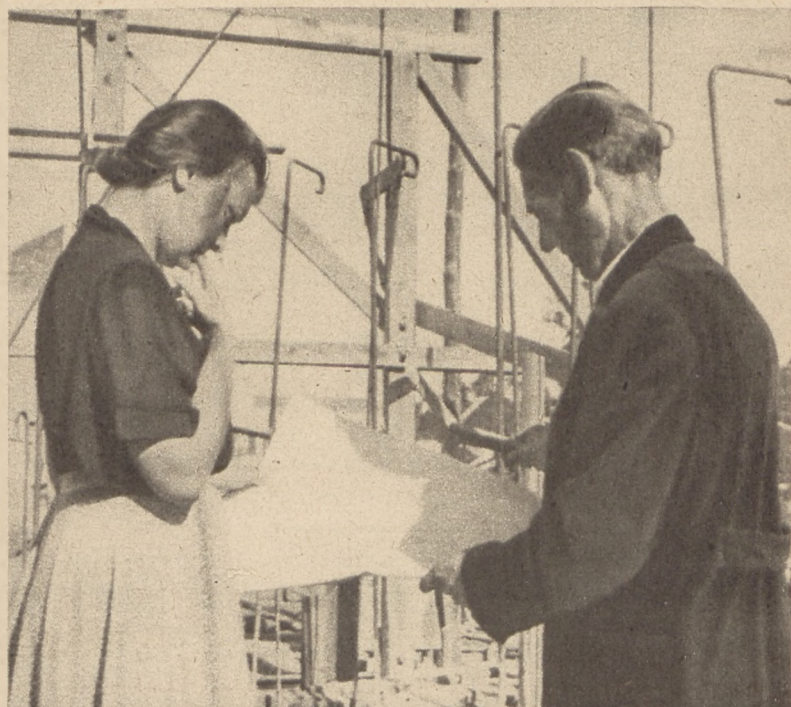
Specjalne urządzenia, przeznaczone do zamrażania rozmiękłej i sypkiej ziemi nadadzą jej twardość, która umożliwi głębokie wiercenia. Nad montażem kompresorów czuwa brygadzysta Ślązak



Te gęsto uwikłane rury muszą być ściśle połączone, aby nie przeciekała mieszanina mrożeniowa. Oko fachowca dostrzeże niedokładność.



Przez trzydzieści trzy otwory do mrożenia ziemi — mówi Ślązak — przez 4 kilometry rur popłynie mieszanina zamrażająca: amoniak, tęg i woda. Ziemia „ostygnie” do 20° C poniżej zera.



Rosnącą konstrukcję maszyny wciągowej trzeba skrupulatnie porównywać z planem. M. Grzymańska i J. Gruz dopilnują montażu.

UCZTA BALTAZARA

P O W I E Ś Ć

Ilustracje: IRENA KUCZBORSKA

— Chwileczkę! — powtórzyła Klimontówna z tym samym zdecydowaniem i tą samą spokojną intonacją.

Po czym zaraz uchyliła drzwi, wystawiła Andrzejowi buty i zamknęła się na dłuższy moment.

— Nie wiem jak się mam przed panią wytłumaczyć! Nie miałem pojęcia!

Andrzej zwrócił się do niej ponownie z tymi samymi zapewnieniami, kiedy drzwi otworzyła na dobre.

— Ależ proszę! — rzekła. — Może ja teraz wyjdę?

Była niższa niż myślał, kiedy leżała na krzesłach. Muskularna, z wydatnymi ustami, wysokim czołem, blada, ładnie uczesana. Patrząc na nią, Andrzej zdał sobie sprawę, że ani się umył ani porządnie ubrał. Palcami spróbował przygłodzić włosy.

— Ależ naprawdę proszę! — powiedziała z prostotą. — Niech się pan nie krępuje. Ja wszystko rozumiem.

Chciał wyjaśnić dlaczego nie może zejść na dół.

— Orientuję się, — przerwała mu — pana ciotki mnie wtajemniczyły.

— Ale jak mogły! — wykrzyknął. — Powiedziały mi, że pani dopiero wieczorem wróci. Musiała być pani niesłychanie zaskoczona, znajdując u siebie śpiącego, obcego człowieka, na dodatek w pani własnym łóżku.

Przyjrzała mu się uważnie. Wyglądał tak przybity, tak zgnębiony. Ponad miarę wytworzonej sytuacji.

— Wrażenie było rozłożone na raty — odparła z humorem. — Z początku jak weszłam, pomyślałam, że to znowu któraś z pań z dołu, dopiero jak zobaczyłam te kilofy, łopaty i płachty, podeszłam do łóżka i zorientowałam się, że nie śpi u mnie żadna z ciotek pana, tylko, że to zapewne pan, o którym ciągle od nich słyszę.

Zaledwie wspomniwała o kilofach i łopatach, poczerwieniał cały. Na myśl o tym jak ona sobie wytłumaczy, po co mu były potrzebne te narzędzia, przeszło go mrowie. Zdenerwowała go również bezceremonialność ciotek, zajmujących posłanie Klimontówny, nawet wtedy, gdy nie miały pewności czy nie wróci na noc.

— Ładnych rzeczy się dowiaduję — pobałdł. — One są jednak niemożliwe.

Lecz Klimontówna nie chciała z Uriaszewiczem mówić o jego ciotkach. A w każdym razie nie teraz i nie tego rodzaju tonem. Dla niej te dwie kobiety, nie stare jeszcze, nie pracujące, to był rzeczywiście problem.

— Woda do mycia jest w imbryku — powiedziała wstając i pouczyła Uriaszewicza: — Tylko proszę dolać potem na herbatę.

Kiedy był gotów, wyjrzał na korytarz i podziękował za wszystko, wymawiając się od śniadania. Robił wrażenie niezupełnie przytomnego.

— Czy pan czasem nie chory? — spytała. — Takie ma pan oczy szkliste. Ja bym na pana miejscu napiła się czegoś gorącego. A czy w kawiarni, czy u mnie w domu to jeden czas. Chyba że pan już musi iść, bo ma pan termin.

— W ogóle nie mam po co!

I urwał po tych słowach, które wypowiedział tak nieoczekiwanie dla siebie. Klimontówna jak gdyby ich nie usłyszała, nie rzekła nic, nie odwróciła się od płyty kuchennej. Zorientował się jednak po chwili, że zrozumiała, kiedy dłużej nie rozprawiając na ten temat, postawiła przed nim tacę ze śniadaniem. Inaczej sobie tego Uriaszewicza wyobrażała z opowiadań jego ciotek.

— Nie ma pan jeszcze zajęcia?

Upłynęła dłuższa chwila, zanim taką dał odpowiedź:

— Dopiero parę dni temu wróciłem.

Czując jej wzrok na sobie, pochylił głowę i znowu zapadł w milczenie. Nie mógł przełknąć ani kawałka chleba. Wypił szklankę herbaty, z wdzięcznością przyjął drugą. Lecz tej już nie ruszył, siedząc nad nią jak martwy.

— Pan wczoraj strasznie długo w nocy czytał. Chyba do trzeciej?

— Do trzeciej? — powtórzył za nią jak echo.

— Do trzeciej, do trzeciej! A stąd wiem, że kiedy przyszedłam trochę po trzeciej, żarówka jeszcze nie ostygła. Nie chciałam, żeby pana zbudziło światło. Owijam ją gazetą, patrzę: jeszcze ciepła.

Andrzej podniósł oczy na Klimontównę i spróbował się do niej uśmiechnąć. Lepiej się czuł z nią, niż mógłby się dzisiaj czuć z ciotkami, z Hazą czy sam ze swoimi myślami w kawiarni, ale nadal nie wesoło mu było na świecie. Po żalonym wyniku poszukiwań z nocy nie otrząsnął się. Nieomal lzy mu napływały do oczu, ilekroć pomyślał o swojej przegranej, a kiedy „Uczta“ schodziła

mu z myśli, przypominał mu się ból głowy i opanowywała go senność. Uświadamiał sobie, że jego obecność musi Klimontównie ciążyć, zwłaszcza że na jej kwestie odpowiadał krótko, ciężko, półgębkiem. Na nic więcej nie mógł się zdobyć! A na temat wspomnianych przez nią książek, które sobie wczoraj pożyczyl z jej półki, nic nie rzekł. Nie miał nic o nich do powiedzenia, nic z nich nie pamiętał, nie pamiętał w ogóle co to były za książki.

— Już nie pada — oświadczył w pewnym momencie — już pójdę!

— A pana ciotki? Czy pan chce, żebym zeszła i poprosiła tu którą?

Nie czuł się na siłach wysłuchiwać wszystkiego, co by mu mogły powiedzieć w podobnych okolicznościach. Wolał panny Uriaszewiczówny zawiadomić pisemnie o tym co się stało, a zobaczyć się z nimi dopiero przyszedłszy do siebie. Napisał więc, że spotkał go kompletny zawód i oddał list Klimontównie. A ona wzięwszy z jego rąk list, położyła na półce z książkami i wyjaśniła:

— Oczywiście nie zaniosę go na dół ani nawet nie włożę w szparę w drzwiach, pana babka tak na wszystko uważa. Tu go zostawię. To już jest takie umówione miejsce.

Bezmyślnie spojrział gdzie i wtenczas uderzyła go stojąca na tejże półce fotografia. Nie było jej wczoraj wieczorem. Zauważyłby ją pomimo wszystko! Duży fotos, powiększony z amatorskiego zdjęcia, przedstawiający młodego mężczyznę w ciepłym, watowanym, sowieckim kaftanie, w narciarskiej czapce, o rysach tak dobrze zdawało by się znajomych, tylko czyich? Uriaszewicz przybliżył się. W lewym rogu widniały pod szkłem, przechodzące na ukos dwie wstążeczki, od orderów czy odznaczeń; człowiek na zdjęciu nie żył. Andrzej przyjrzał mu się ze skupieniem. Nie, nie znał go; pomylił się. Znał tylko kogoś bardzo podobnego, ale kogo? Kogo? Nie zapytał jednak o nic Klimontówny, nie powiedział dlaczego z takim uporem wpatrywał się w zdjęcie, bo kiedy się odwrócił, natknął się na jej oczy zmienione, zimne, chmurne.

— Dziękuję jeszcze raz za wszystko — rzekł. — I jeszcze raz przepraszam.

Dotknął klamki i na jedną czy dwie sekundy znieruchomiał. Dokąd się miał udać?

— Proszę poczekać — usłyszał za sobą głos Klimontówny. — Zabiorę się z panem, ale tylko do najbliższego rogu, do sklepiku. Wyszła mi kawa!

— Kawa? Lubi pani kawę?

— Wracam taka skonana z moich wyjazdów!

Jemu wówczas nagle zrobiło się tęskno za kawą i ckliwo na myśl, że za chwilę zostanie sam.

— Umęczone się — mówiła Klimontówna — bo to najczęściej i połączenia niewygodne i końmi trzeba się wytrząść i zarwać nocy, a po powrocie za świeżej pamięci zanotować swoje spostrzeżenia wizytatorskie. Stąd zawsze filiżanka dobrej kawy i — zaraz do roboty.

— Ale nie idzie pani dziś do biura?

— Do wydziału? Skądże! Po takiej podróży zawsze mam wolne. W domu pracuję!



Lecz oto już się ukazał róg ze sklepikiem spożywczym!
 — Chodźmy gdzie na kawę — poprosił nagle cichym głosem Uriaszewicz.
 — Niech mi pani nie odmawia!
 A kiedy się wahała, powtórzył słowo w słowo to, co ona mu powiedziała przed pół godziną:
 — I tak czy w kawiarni ją wypić, czy w domu — jeden czas!
 Ponieważ jeszcze się nie zdecydowała, nie lubiła zmieniać planów, dodał:
 — Chciałbym z panią pomówić o mojej rodzinie. Jak jej się właściwie układa życie.

Na koniec więc zasiedli tuż przy doszczętnie zniszczonym placu Zamkowym w mikroskopijnej kawiarni o kilku stolikach. Jako jedyni goście o tej porze.
 — Duża czarna, czy mała? — spytał Andrzej.

— Niestety duża! Wracam z moich wyjazdów taka skonana! — ponownie wyjaśniła Klimontówna. Nie wyglądała zresztą na zmęczoną. A nawet od chwili kiedy mimochodem wspomniała o swoich wyjazdach, nabrała wyglądu osoby o świetnym samopoczuciu fizycznym. Temat ją ożywił. Przygasała tylko na moment, zaraz na wstępie, kiedy Uriaszewicz, który coś niecoś słyszał o niskich uposażeniach nauczycielskich i o stosunkowo wysokich dietach, bez złej myśli oświadczył:

— A pani pewnie musi dużo jeździć, żeby wyjść na swoje!
 Zachnęła się, opanowała się jednak, szkoda jej było czasu na docinki, a jeszcze większa szkoda na to, by przed Uriaszewiczem się tłumaczyć. Jeżeli pewnych rzeczy od pierwszej chwili nie wyczuł i tak ich nie zrozumie. Poinformowała go więc tylko krótko:

— Wyjeżdżam często, bo teraz jest masa do roboty. Po amnestii lepszy element wraca z lasów do szkół. Zwłaszcza do rolniczych, zależnych od ministerstwa rolnictwa, gdzie pracuję. A i w samym ministerstwie po wyborach zaszyły nareszcie zmiany. Otwiera się coraz szersze pole do działania.

Andrzej słuchając jej, wlepił martwo oczy w marmurowy blat stolika. Zaprosił ją do kawiarni, powiadając, że chce z nią porozmawiać o swojej rodzinie. Kiedy jednak przeszła do tej sprawy, pożałował wybranego pretekstu. Klimontówna używała słów ogólnych. W stosunku do panien Uriaszewiczównych jednak nie tylko tylko współczujących, lecz krytycznych. Jej punkt widzenia nie był małostkowy. Jakiś specjalny. Andrzej nie mógł dobrze uchwycić jaki. Nie czuł się na siłach nic zgłębiać, nic rozstrzygać. Zwiesił głowę jeszcze niżej.

— Pewnie. — Od czasu do czasu przytakiwał bez przekonania. — Aha.
 — Z pana ciotkami mówiłam nieraz, ale obcy człowiek nie wiele ma wpływu na starszych ludzi. Od pana dużo teraz zależy.

— Pewnie.
 Nie chciał jednak dopuścić, by zniechęciwszy się jego mrukiwością, zostawiła go samego. Po chwili więc poprosił ją, żeby mu jeszcze coś opowiedziała o swoich szkołach. Pewien był że przyjdzie mu łatwiej słuchać o nich, niż o rzeczach bolesnych i tyjących go obojętnie.

— Szkoły! Szkoły! — uśmiechnęła się Klimontówna. — To całe moje życie!
 Zaczęła mówić o nauczycielstwie zaharowanym, na marnych pensjach, o nowym typie ucznia, o ludziach, którym dawno minął wiek szkolny, uczących się od nowa albo przechodzących początkowe nauki po raz pierwszy, o młodzieży zwróconej szkołom po latach przerwy, o wieczorowych kursach, o lokalach wykorzystywanych od rana do nocy przez różne oświatowe instytucje, o głodzie nauki.

— Ciekawe rzeczy, prawda? — powtarzała co jakiś czas dla nabrania oddechu.
 — Ciekawe — przyznawał Uriaszewicz.

Ale dopiero, kiedy mu powtórzyła zdanie pewnego powrotnego analfabety, który po skończeniu nauki, rozstając się ze szkołą powiedział, że „całą duszą żegna to miejsce, w którym znowu do godności przyszedł“, Uriaszewicz poczuł w okolicach serca ciepło.

— Czy dużo jest tych szkół rolniczych — zagadnął — to znaczy tego rodzaju, które pani wizytuje?

— Na terenie województwa warszawskiego mamy trzydzieści. Ale nauczycieli z kwalifikacjami na dziesięć, materiałów szkolnych, pomocy, książek, lokali jak należy, prawdę mówiąc na pięć, uczni zaś na trzysta.

— A kiedy się osiągnie pełną sieć tych szkół?
 — Za cztery lata.
 — A ile ich jest więcej, niż było przed wojną?
 — W naszym województwie — jedenaście.
 — A za cztery lata ma być ich trzysta?
 — Za cztery lata będzie trzysta.
 — A postawione są dobrze?
 — Bardzo różnie!

I w związku z tym pytaniem Uriaszewicza, wpatrując się w niego bezwiednie, zamyśliła się głośno nad pewnym zagadnieniem, które ją trapiło.

— Trzeba czasem jedną placówkę skrzywdzić, kiedy inna może na tym więcej zyskać. A z drugiej strony nie można jednych placówek zbyt uprzywilejowywać, żeby nie doprowadzać do systemu oaz w pustce.

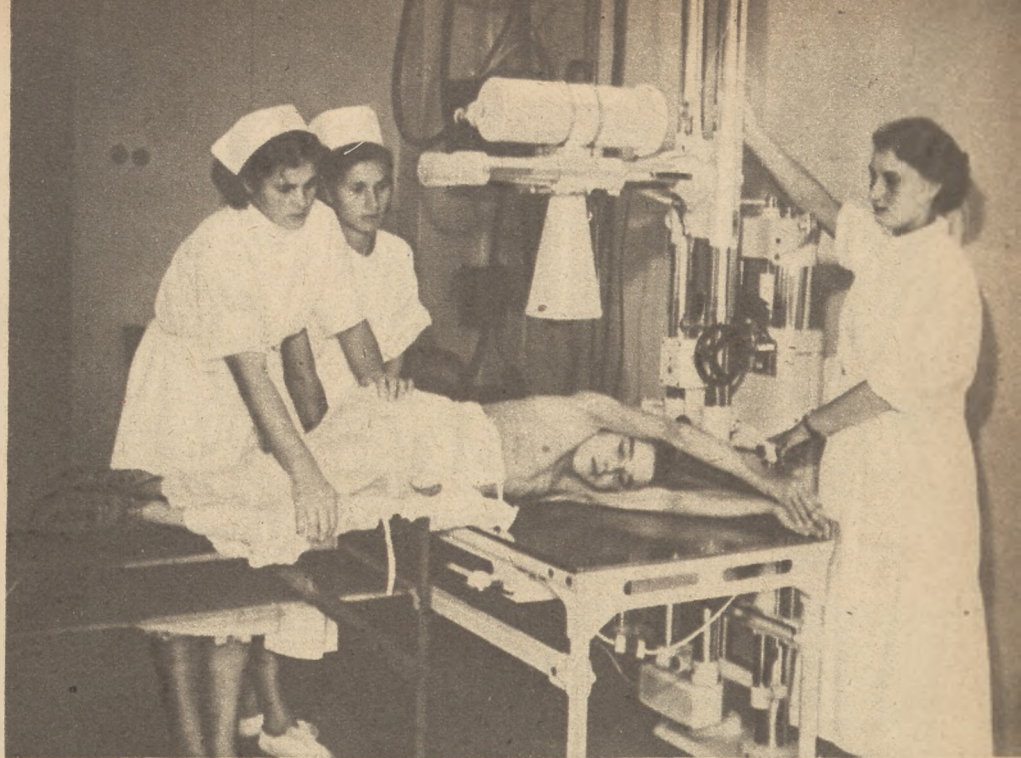
— I tak już są.

Wstał. Nie pożegnali się jednak zaraz. Filiżanka kawy nie pokrzepiła Klimontówny, natomiast sprawiła, że Klimontówna nie mogłaby zasnąć. Ruszyła przed siebie.

— Nie do domu? — spytał Andrzej.
 — Przejdę się trochę!

Poszli więc w jednym kierunku: w stronę śródmieścia, Krakowskim Przedmieściem wypalonym, wyburzonym, o niektórych fasadach ocalałych, z rzadka, jedna na dziesięć, i to nigdy w całości. Gdzieniedzie wznosiło się rusztowanie, gdzieniedzie przy ruinie przeznaczonych na rozbiórkę kręciło się trochę ludzi. Jedni stojąc na murach niekiedy pod samym niebem, ciskali z góry cegły, inni je sortowali, jeszcze inni spękanyh rękami, pokrzykując o raz! o raz! pociągali w dół napiętą jak struna liną całe skruszone ściany. Łomot tych ścian, dudnienie ziemi od padających cegieł chwilami głużył słowa, które Klimontówna i Uriaszewicz wymieniali. Skręcili w Ordynacką, wrócili na Krakowskie Przedmieście Foksalem, wszędzie — niżej, wyżej, pod niebem, szła praca.

Dalszy ciąg nastąpi



Zdjęcie „warstwicowe“ pozwoli lekarzowi na umiejscowienie nowotworu płuca.

TECHNIKA W WALCE Z CHOROBA

ROZBUDOWA ODDZIAŁU RADIOLOGICZNEGO W KRAKOWSKIM SZPITALU KLINICZNYM

Zdjęcia: A. ISZCZUK

MEDYCYNĄ w coraz mniejszym stopniu chodzi już po omacku. Diagnoza tzn. rozpoznanie choroby w ogromnej ilości wypadków nie nastęrcza już większych trudności, gdy przy pomocy nowoczesnych przyrządów możemy dosłownie zajrzeć do organizmu ludzkiego, zobaczyć co w nim szwankuje.

Np. na zdjęciach tzw. „warstwicowych“ dokonanych przy pomocy aparatów rentgenowskich można odczytać położenie i wielkość gruźliczej jamy w płucach lub ustalić dokładnie umiejscowienie nowotworu. Na podstawie tych zdjęć chirurg dokonuje operacji.

Niezależnie od roli radiologii w diagnostyce, ogromne jest jej zastosowanie w leczeniu. Naświetlanie promieniami rentgenowskimi pozwala na zwalczanie niejednej choroby.

Ośrodek radiologiczny w Krakowie, którego rozbudowę rozpoczęto z inicjatywy i pod kierunkiem dr Juliana Chudyka wiosną 1949 r. obejmie szereg nowych pomieszczeń diagnostycznych i terapeutycznych, wzorowo wyposażonych w nowoczesny sprzęt rentgenowski.

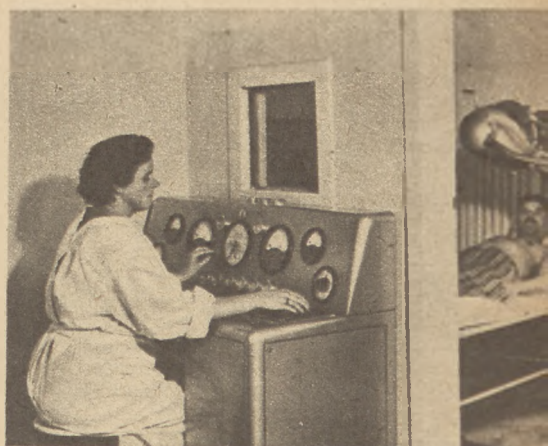
„Stworzenie i rozbudowanie takiego zakładu w okresie międzywojennym nie wchodziło w ogóle w rachubę“ — powiada dr Chudyk, otwierając drzwi jednego z gabinetów diagnostycznych. Dawniej w Krakowskim Szpitalu Klinicznym nie było ani odpowiedniej aparatury, ani dostatecznego personelu. Oddział Radiologiczny nie mógł wręcz sprostać potrzebom społecznym. Polska Ludowa natomiast łoży ogromne fundusze i mobilizuje wysiłki, by czujną ochroną otoczyć zdrowie człowieka. Trzeba zbudować postępowe, nowoczesne leczenie, by choremu zapewnić najtroskliwszą opiekę, dobrze wyposażać oddziały szpitalne.

Osiągnięcia Związku Radzieckiego w tej dziedzinie: zespolenie troski o pacjenta oraz wiedzy lekarskiej z wyposażeniem w odpowiednią, nowoczesną aparaturę techniczną — są drogowskazem, który kieruje pracami polskiej służby zdrowia. Kraj budujący podstawy socjalizmu walczy o zdrowie mas pracujących.

A w tej walce krakowski ośrodek radiologiczny stara się zająć honorowe miejsce.

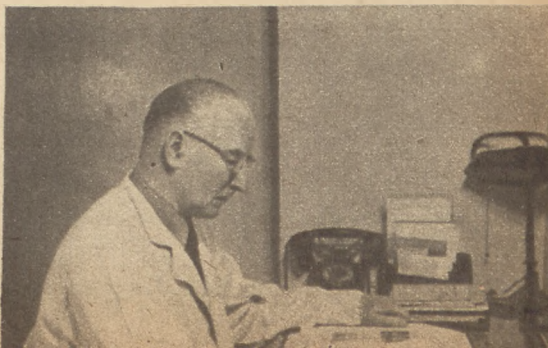


Na mocy orzeczenia lekarskiego chorego przenosi się do sali naświetleń.



Naświetlania przy pomocy nowoczesnej aparatury przywrócą pacjentowi zdrowie i zdolność pracy.

Orzeczenia ordynatora kliniki, dr Chudyka decydują jakiemu leczeniu muszą być poddani pacjenci.



OPOWIEŚĆ O SZTUCE I WALCE

ROZMOWA Z WIELKĄ ARTYSTKĄ KOREI

ADAM WITOLD WYSOCKI

KSIEŻYC na szczęście zgasł za chmurami. Mała zwinna łódź rybacka mogła więc prześliznąć się niepostrzeżenie, poprzez kordon kanonierek i ścigaczy, strzegących pilnie skalistego wybrzeża. Nawet jednak, gdyby łódź została zatrzymana, strażnicy nie dojrzeliby w niej czegoś godnego specjalnej uwagi. Ot, nieco świeżych ryb, walających się na dnie, kilku milczących rybaków i stara, siwa, okutana w wypłowiałą chustę wieśniaczka...

I w tej zgarbionej chłopce, nawet najzdolniejszy agent Li-Syn mana nie rozpoznałby z pewnością... najpiękniejszej kobiety Korei, słynnej tancerki Coj-Syn hi, którą gościmy dziś w Polsce.

Była to wczesna jesień 1946 roku, a więc dokładnie niemal przed pięciu laty. Coj-Syn hi, znana i podziwiana niejednokrotnie na czołowych scenach Ameryki, uciekała właśnie w przebraniu z okupowanego przez wojska USA, Seulu...

DROGA DO WOLNOŚCI

Nie mając możliwości kształcenia się we własnym, podbitym przez wroga kraju, Coj-Syn hi musiała wyjechać na obczyznę. Początkowo w Tokio, a następnie w Paryżu studiowała taniec klasyczny, wschodni i europejski, a zwłaszcza klasyczny taniec rosyjski. Już jednak w zaraniu swej pracy artystycznej w r. 1929, w chwili, gdy po pierwszych sukcesach otworzyły się przed nią horyzonty kariery na skalę światową, Coj-Syn hi powraca do kraju, aby wyruszyć na wieś, między chłopstwo, i poznać bliżej to, co — mimo stałych prześladowań i perfidnej polityki wynarodowienia — zachowało się jeszcze z przebogatej ongi tradycji ludowego tańca koreańskiego. Zachowało się niewiele.

OŻYŁY PRASTANE FRESKI

Cóż więc robi Coj-Syn hi, aby odrodzić sztukę taneczną w swej ojczyźnie? Zaczyna studiować stare księgi, zapiski kronikarzy, przeglądać pilnie sztychy, rysunki... i według znalezionych wzorów komponować na nowo stare figury taneczne. W ten sposób powstał między innymi słynny taniec Coj-Syn hi p.t. „Fresk z Sok-Kul am”.

— Gdy w roku 1937 układałam „Fresk z Sok-Kul am” — powiada nam artystka — starałam się przełać w taniec nienawiść do ciemnościeli, całą płomienną wolę walki ludu koreańskiego o niepodległość.

Tuż przed wybuchem II wojny światowej, związana ściśle z podziemnym ruchem wyzwoleniczym, Coj-Syn hi, wyrusza znów w świat, na wielkie tournée po 25 krajach. Staje się ona rzeczywistym ambasadorem kultury koreańskiej w świecie, wykorzystując każdy swój występ dla żarliwej propagandy sprawy odzyskania niepodległości przez Koreę.

Upadek Japonii — zastał ją w Seulu...

Coj-Syn hi nie dała skusić się ponętnymi propozycjami amerykańskich imperialistów i szelestem książeczki czekowej. Wybrała niebezpieczną podróż w rybackiej łupinie...

KIM IM SEN DOPOMÓĆ

Ludowy Phenian powitał ją uśmiechem słońca i otwartymi sercami mieszkańców stolicy Demokratycznej Republiki, wyzwolonej przez Armię Radziecką.

I już, dosłownie, w niewiele dni po przybyciu urzeczywistniły się najgorętsze marzenia całego jej życia. To na co czekała przez lata przybrało, dzięki osobistej pomocy gen. Kim-Ir sena, realny kształt. Już we wrześniu 1946 roku — Coj-Syn hi założyć mogła, tu w Phenianie, pierwszy w wolnej Korei Instytut Choreograficzny.

Instytut ten rozwijał się wspaniale. Dziś piękny zabytkowy gmach — to jeden wielki lej bombowy...

Korzystając z zaproszenia Rządu Chin Ludowych, artystka wyjeżdża do Pekinu, gdzie kontynuuje pracę nad 120 uczniami i uczennicami, Koreańczykami i Chińczykami, przekazując im swój wielki kunszt i umiłowanie narodowych tradycji.

Ta, pełna poświęcenia praca wielkiej artystki, wydała wspaniałe owoce, czego dowodem jest choćby pierwsza nagroda przyznana zespołowi jej wychowanków na III Światowym Zlocie Młodych Bojowników o Pokój w Berlinie. Świadczy o tym również ogromny sukces ułożonych i wystudiowanych przez nią tańców partyzanckich i żołnierskich, mówiących o bohaterskiej walce z najeźdźcami imperialistycznymi. Tańców, które podziwiamy obecnie w Polsce.



PEŁNA DYNAMIKI SCENA ZBIOROWA.



SUITA TANECZNA PT. „KOREAŃSKA MATKA”.



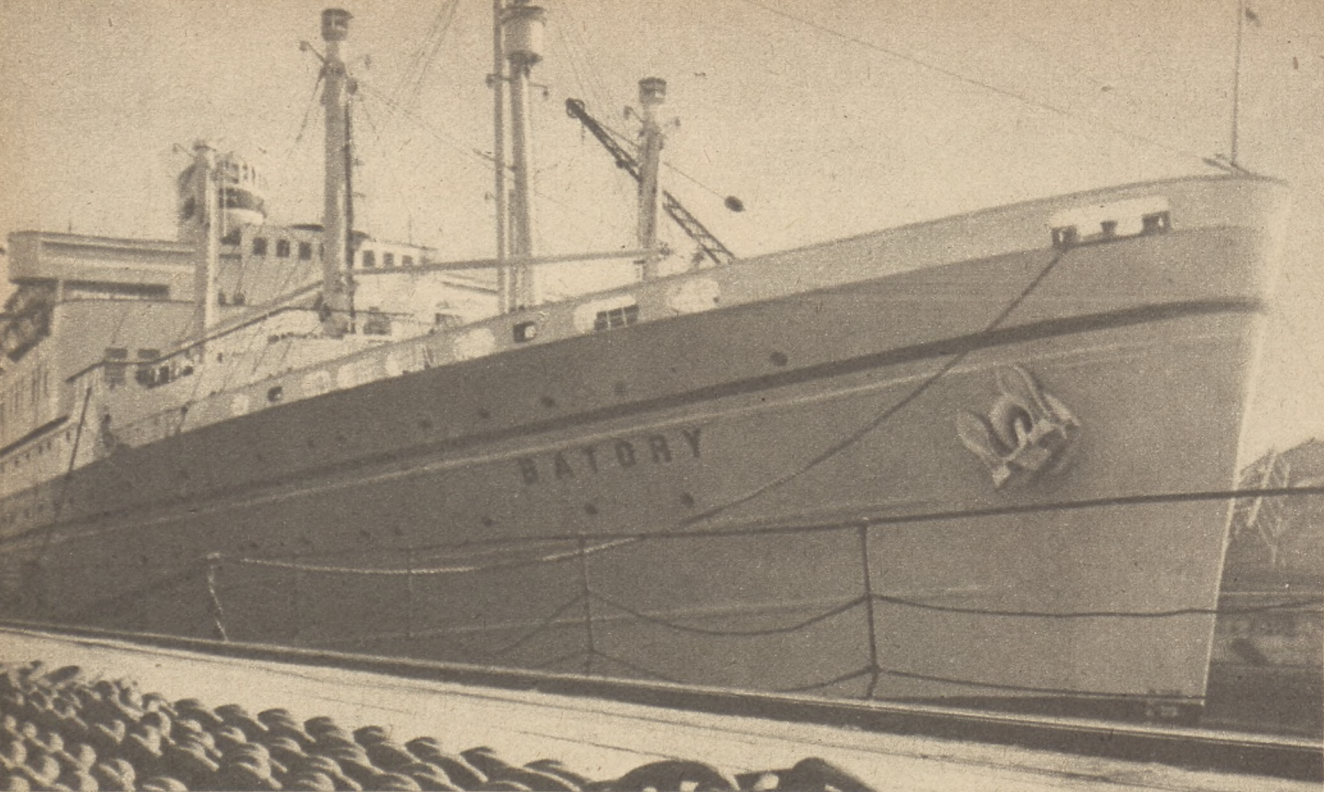
KLASYCZNY „TANIEC Z WACHLARZAMI” JEST JEDNYM ZE SZCZYTOWYCH OSIĄGNIĘĆ COJ-SYN HI.



„TANIEC Z BĘBNEM”, WYKONANIE COJ-SYN HI.



ROMANTYCZNA OPOWIEŚĆ TANECZNA.



M/S „Batory” — największa jednostka naszej floty handlowej udał się w podróż do Indii, rozpoczynając stałą komunikację pasażersko - towarową między Polską a dalekimi krajami. Przed wyjazdem przemalowano go na kremowy kolor, otrzymał lepszą wentylację i przeciwsłoneczne nakrycia na górnych pokładach

POLSKA — INDIE

PIERWSZA PODRÓŻ „BATOREGO”

Zdjęcia: F. STASZEWSKI



Oto załoga z kapitanem na czele wita pasażerów.



Jak widać „Batory” ma różnokolorowe pasażerki.

Na statku można by prawie urządzać... Kongres Pokoju. Oto Hinduska, Murzynki, Malajka i dwie Szkotki.



Droży Czytelnicy!

DOSTALIŚMY wiele listów z reklamacjami w sprawie kolportażu naszego tygodnika, który zbyt późno dochodzi do wielu kiosków oraz w sprawie numerów poprzednich, którymi nasi czytelnicy pragną uzupełnić swe komplety. Listy te i skargi przesłaliśmy „Ruchowi” i jesteśmy przekonani, że wszystkie — naturalne zresztą dla nowego pisma — uchybienia będą zlikwidowane.

Ob. Elżbieta Podwojska z Wołcza zwraca nam uwagę, że nie ma dotychczas „Świata” w świetlicach robotniczych i chłopskich. Niestety, tu do prawdy nic nie jesteśmy w stanie uczynić. Przesyłamy numery tylko abonentom. Wierzymy, podobnie jak ob. Podwojska, że nasze pismo wszędzie utoruje sobie drogę, jeśli oczywiście będzie się stale rozwijać i polepszać.

Ob. W. Z. z Sosnowca jest zdecydowanym wrogiem powieści odcinkowej. „Przeczytam jeden kawałek tej powieści — pisze — a nim przejdzie tydzień zapomnę...” Dlatego to właśnie kompletujemy się pisma, aby zajrzeć czasem do poprzednich numerów, jeśli się coś zapomniało. Powieść odcinkowa zdobyła sobie prawo obywatelstwa dostojnie na całym świecie i... „Świat” nie może być wyjątkiem. Taka jest bowiem wola większości.

A teraz z kolei nowa porcja pomysłów: Ob. Jan Haberko z Dąbrowy Górniczej domaga się „stałych odcinków z dziedziny geografii, tzn. dane poparte wykresami i zdjęciami o poszczególnych państwach całego świata”. Pragnie również znaleźć „więcej wierszy o tematyce Planu 6-letniego, walki o pokój, pogłębienia przyjaźni ze Związkiem Radzieckim”. Nadsyła nam swój wiersz z prośbą o ocenę. Nie czujemy się kompetentni — radzimy zwrócić się w sprawie oceny do pisma literackiego (Nowa Kultura) lub do najbliższego oddziału Związku Literatów. Ob. Elżbieta Mierzyńska z Krakowa rzuca projekt, by „Świat” zamieszczał artykuły napisane przez Czytelników: robotników, chłopów, inteligentów amatorów i artystów zawodowych” na temat plastyki. Przede wszystkim takich artykułów dotychczas nie dostaliśmy — inicjatywa musi wyjść od Czytelników, ale wydaje nam się, że powinny to być raczej urażenia zwiedzających wystawy, nie zaś próby pisania fachowych artykułów, bo w tym wypadku potrzebna jest wiedza. Ale spróbujmy — może znajdziemy wspólnie jakąś formę.

Ob. Lech Kuczer z Choszczyna jest zapalonym szachistą. Zainteresowała go historia szachów i przytacza kilka wersji, które znalazł w pismach. Jedną wywodzi szachy z Indii, inną — z Persji. Wzywa Czytelników, by za pośrednictwem „Świata” wypowiedzieli się na ten temat. Czekamy.

Ob. Mirosław Ormiański z Łodzi proponuje, by „Świat” zamieszczał teksty najnowszych piosenek z nutami. (Nota bene wśród najnowszych umieścić „Na lewo most”, którą to piosenkę wszyscy z zapalem śpiewamy). Chciałby również widzieć dział pt. „Piękno i zabytki Polski” ze szczególnym uwzględnieniem Dolnego Śląska, następnie — dział przyrodniczy i numizmatyczny.

Ob. Stanisław Głowacki z Warszawy domaga się rozszerzenia działu rozrywek umysłowych. To tylko część propozycji, które otrzymaliśmy i możemy omówić. Nieźle, coooo? W taki upał! Ale któregoś dnia spisujemy wszystkie Wasze projekty, skonfrontujemy je z możliwością pomieszczenia ich na 24 stronach, które — jak mówi przysłowie dziennikarskie — nie są z gumy i zastanowimy się wspólnie jak to wszystko pogodzić. Dobrze?

Bardzo nas ucieszył list, który dostaliśmy od ob. Józefa Szczypka z Dolic, bohatera naszego reportażu o korespondencie wiejskim. Ob. Szczypek przysłał nam zaproszenie na dożynki. Niestety, nie mogliśmy zeń skorzystać, ale pragniemy go zapewnić, że jesteśmy całym sercem z obywatelami ze spółdzielni produkcyjnej w Dolicach i życzymy jej wspaniałego rozwoju.

Z przykrością musimy odmówić prośbie ob. Stefana Bodzenka z Międzyrzza, który chciałby za naszym pośrednictwem nawiązać korespondencję z chłopcem w jego wieku z Warszawy, Zakopanego, lub Gdańska. My się tym nie zajmujemy, ale wydaje się nam, że byłoby słuszniejsze zwrócić się do ZMP i tą drogą nawiązać kontakt z rówieśnikami z innych części kraju.

No, dosyć chyba na dziś, prawda? Do przeczytania w następnym numerze

REDAKCJA

ŚWIAT



Obiad na wczasach wędrownych, przyrządzony na polance jest czasem wiele smaczniejszy niż w stołówce.



Mały Władzio przyjechał do domu wczasów dla pracujących matek z dziećmi w Mikuszowicach koło Bielska.



W ośrodku FWP Bielsko „wczasowe żniwa” odbywały się przy muzyce, śpiewach i przy solowych występach.



ZDANIEM WCZASOWICZÓW Z RUCIAN, MAZURY — TO IDEAŁ DLA SPORTÓW WODNYCH.

NAD MORZEM, W GÓRACH I LASACH

Tekst i zdjęcia: JERZY SIEROŚLAWSKI



„PRZED NAMI WIDĄĆ RYSY” — MÓWI WCZASOWICZOM DOŚWIADCZONY PRZEWODNIK.

PIEKNA nasza Polska cała — mówi poeta. I przyjemnie poznawać ją, cieszyć się jej urokiem, podziwiać morze, majestatyczne góry, melancholijne pojezierza, zwiedzić przy okazji pomniki naszej kultury.

Nie jest to przywilejem małej grupki ludzi, jak to było przed wojną. Rok rccnie setki tysięcy robotników i pracowników wyjeżdżają na wczasy, które stały się prawdziwą zdobyczą i dobrem ludzi pracy. Na naszych plażach nadmorskich i w górach spotykają się górnicy i włókniarze, hutnicy i nauczyciele — wszyscy, którzy stoją w szeregu realizatorów zadań Planu Sześcioletniego.

Wszystkie domy wczasowe naszego wybrzeża wykorzystane są w tym roku do granic swej pojemności. Obok popularnych Międzyzdrojów, prawo obywatelstwa zdobywają urocze, małe wczasowiska: Darłówek, Łeba, Niechorze, Rewal, Sarbinowo, Ustronie Morskie, Krynica Morska czy Wisłka.

Nasze pojezierza, szczególnie mazurskie, to coraz groźniejszy konkurent morza. Rozbudowa wczasów na tym terenie, znaczne powiększenie ilości sprzętu wodnego, usprawnienia akcji kulturalno-oświatowej i wreszcie wrażenia wczasowiczów z ubiegłych lat — oto powody, dla których do Rucian, Szyby, Łęzań, Wydmin, Augustowa czy Barczewa pociągi były tak przepełnione, jak do Zakopanego w zimie.

Pieniny, przełom Dunajca, Czorsztyn i Szczawnica, wreszcie Piwniczna, Muszyna i Żegiestów

Dokończenie na str.

20



ATRAKCJĄ GŁUCHOŁAZ JEST JEDEN Z NAJOKAZALSZYCH W POLSCE BASENÓW KĄPIELOWYCH.

Dokończenie ze str. 19

nad Popradem, dały wiele radości miłośnikom kąpieli i górskich wycieczek.

Beskidy — ten zielony park czarnego Śląska, otrzymują w Planie 6-letnim nowe wyciągi linowe. Mikuszowice koło Bielska, to miejscowość wczasowa, której rozwój idzie w parze z realizacją wielkiego planu. Z rozbudowujących się Nowych Tych i wielkich zakładów przemysłowych Śląska przybywają tu co tydzień w ramach wczasów niedzielnych tysiące robotników. Będący już w budowie wyciąg linowy na Szyndzielnię przybliży nam szereg szczytów górskich, pozwoli poznać ich piękno.

Nadchodzący wrzesień jest ulubionym miesiącem taterników. Gdzież bowiem piękniejsza jest jesień?

A niziny? Spała, Łąck, Kolumna-Las, Łagów, Ciechocinek, Busko, Józefów-Sródborów, Świder? — Każda z tych miejscowości daje wczasowiczowi coś nowego. Bliskość Warszawy w uroczym Józefowie, solanki w Ciechocinku, wczasy matki i dziecka w Kolumnie, wreszcie wieś. Warto ją poznać na wczasach, warto nawet pomóc rolnikowi, jak to robili z własnej inicjatywy wczasowicze w wielu miejscowościach.

W roku bieżącym wprowadzono nowe formy wypoczynku jak: wczasy na statku, wczasy krajoznawcze i wczasy kolarskie, umożliwiające każdemu, niezależnie od wieku i możliwości fizycznych, należyte wykorzystanie urlopu.

Nie zazdrościmy więc tym, którzy byli w tym roku nad morzem. Jest tyle niemiennie pięknych miejscowości na wczasy jesienne.

JERZY SIEROSŁAWSKI

WODA, SŁOŃCE I CISZA POJEZIERZA — TO ZNAKOMITE LEKARSTWO NA DUŻE ZMĘCZENIE.



Na t.zw. wczasach profilaktycznych w Rościszowie (Dolny Śląsk) obowiązuje codzienne leżakowanie.



Niezapomiane wrażenia pozostawił wczasowiczom z Czorsztyna wielki spław tratwami na Dunajcu.

KAŻDY KAWAŁEK ŻŁOMU to cegielka w nowym domu

GRZEŚ ma 5 lat i zawsze poobłąkowane kolanem. Grześ sypie pytaniami od rana do późnej nocy, jak z przysłowiowego rogu obfitości, doprowadzając otoczenie do białej gorączki i czarnej rozpacz. Niestety, coraz częściej na grzesine pytania nie można znaleźć odpowiedzi, i rozczochrany malec coraz częściej konstatuje bez ogródek:

— Bo ty nic nie wiesz...

I trzeba przyznać, że ma rację. Choćby w zeszłym tygodniu. Pojechaliliśmy z Gdańska statkiem do Sobieszewa. Poszliśmy do przystani lasem. Pod każdym drzewkiem leżały zardzewiałe wraki samochodów, rozmaite części zniszczonej broni i sprzętu. Przeskakiwaliśmy przez sterty żelastwa, z trudem brnąć naprzód. Wreszcie padło zdawna oczekiwane pytanie:

— Tatu, co to?...

— To są, synku, stare samochody i różne niepotrzebne dziś graty.

— Wszystko na nic?...

— Uhm...

Wróciliśmy do Warszawy. Pewnego dnia, na spacerze, Grześ zoczył poprzerastaną zielskiem kupkę złomu. Było to w pobliżu składnicy złomu na Twardej.

— Patrz tatu, różne niepotrzebne graty...

— Uhm...

Nazajutrz, kiedy czytałem gazetę Grześ stanął za moimi plecami i wyszlabizował:

— Każdy kilogram złomu, to cegielka w nowym domu.

Pytanie, które miało mnie zatamizować, wisiało w powietrzu. Grześ wypowiedział je półgłosem:

— Żłom, to te graty?...

— Uhm...

— A mówisz, że niepotrzebne.

— Mówiłem?

— ...

— Tatuuu... a dlaczego złomu nie zbierają?

— Zbierają.

— A dlaczego koło Gdańska tyle go leży? A dlaczego koło nas na polach tak go pełno? A dlaczego...

— Eh, daj mi spokój, skądże mogę wiedzieć, dlaczego wszędzie tyle złomu, jeżeli jest on tak cenny...

— Ty nigdy nic nie wiesz.

Po chwili:

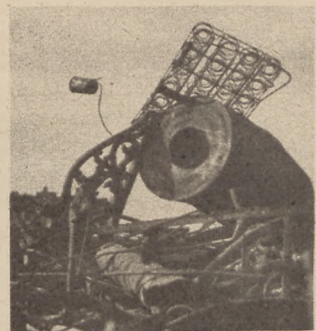
— A dlaczego stoi napisane „cegielka w nowym domu”? Przecież cegielki nie są z żelaza?

— Tak, ale — to tak się mówi — usiłowałem chociaż w części zrehabilitować się w oczach syna. — Bo do budowy tych wszystkich ślicznych domów w Warszawie używa się między innymi żelaza. A żelazo otrzymuje się również ze starego złomu, który przetapia się w hutach.

Wynik nauki nie kazał na siebie długo czekać. W dwa dni potem Grześ zaniósł na miejsce zbiórki odpadków trzy aluminiowe garnki i moją nową maszynkę do golenia.

Z trudem stłumiłem w sobie wściekłość i dałem pokój awanturze. Bo mimo wszystko Grześ pojął potrzebę zbiórki złomu nie gorzej od wielu ludzi, dla których sąsiedztwo masy złomu z wezwaniami na plakatach i w prasie nie jest zjawiskiem zupełnie zrozumiałym.

OL-MAR



UPIÓR — SOJUSZNIK ACHESONA

WOJCIECH BYLIŃA

W NIEMCZACH zachodnich uwija się teraz gorączkowo Aleksander Kiereński. Za pieniądze amerykańskiego Departamentu Stanu montuje on „jednolity front antykomunistyczny”.

Oczywiście Kiereński zaczął swoją działalność od konferencji prasowej. Bądź co bądź jest już od trzydziestu czterech lat na łaskawym chlebie amerykańskim, zdążył więc poznać gusta i upodobania swoich panów. Na konferencji stwierdził między innymi, że powodzenie w tego rodzaju pracy może osiągnąć „tylko ten, kto zna dobrze sposób myślenia ludu rosyjskiego”. Naturalnie, on, Kiereński, zna go dobrze. Widać, że Acheson wierzy w to również, skoro daje mu pieniądze.



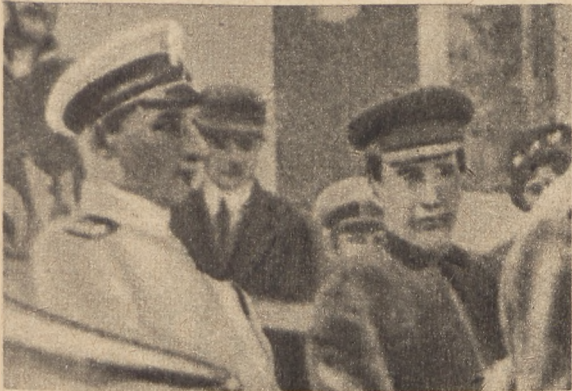
Żywy trup —
Kiereński.

Ale my nie wierzymy i zaczynamy wertować stare materiały historyczne, aby się upewnić, czy nas pamięć nie myli.

Nie, nie myli. Dzisiejszy sojusznik Achesona, to ten sam Kiereński, który w roku 1917 pertraktował

z wielkim księciem Michailem Romanowem, proponując mu koronę Rosji na miejsce zbyt już znienawidzonego Mikołaja II. Ale nie znał wtedy pan Kiereński sposobu myślenia ludu rosyjskiego, bo jak wiadomo — diabli wzięli i Mikołaja i Michała.

W lipcu roku 1917 Kiereński stawia na kontrrewolucyjnego generała Kornilowa, który ma na jego żądanie utopić we krwi rewolucyjne dążenia ludu rosyjskiego. Ale nie znał wtedy pan Kiereński sposobu myślenia ludu rosyjskiego, bo jak wiadomo — diabli wzięli Kornilowa.



Kołczak i Kiereński.

Potem Kiereński stawiał na Kołczaka, na Krasnowa, na Denikina, na każdego wroga rewolucji rosyjskiej, na każdego zdrajcę narodu rosyjskiego. I znów nie znał sposobu myślenia ludu rosyjskiego, bo jak wiadomo — diabli wzięli wszystkich wrogów, a rewolucja rosyjska zatryumfowała wspaniale, rodząc najpotężniejsze państwo na świecie — Związek Radziecki.

Trudno więc nie uśmiechnąć się z politowaniem na tego nowego sojusznika pana Achesona, na tego „znawcę” sposobu myślenia ludu rosyjskiego, którego ten lud wyrzucił na śmietnik wtedy, gdy pan Acheson chodził jeszcze w krótkich spodniach...

Upiór, najprawdziwszy upiór, który tylko dlatego nie został zapomniany całkowicie, że Lenin i Stalin napisali o nim kilka pogardliwych słów w swoich ówczesnych pracach.



Wywoływaniec u-
piorów — Ache-
son.

Ale swoim porządkiem — angażując takiego humorystycznego sojusznika, powinien by się pan Acheson choć chwilę zastanowić. Już nie nad tym, że go ten bezzębny ramol polityczny kompromituje, bo ostatecznie — cała polityka amerykańska dowodzi od dawna, że z kompromitacją Waszyngton się nie liczy, kompromitacji się nie wstydzi.

Pan Acheson powinien choć chwilę pomyśleć o losach Michała Romanowa, generałów: Kornilowa, Krasnowa, Denikina i tylu innych politycznych przyjaciół Kiereńskiego. Ich los może nasunąć panu Achesonowi bardzo poważne, aczkolwiek niemiłe myśli i analogie...

Zły to znak, gdy kto szuka sojuszników na cmentarzu politycznym, wśród upiórów naszego stulecia...



Fot. 3

WEKOWANIE — SZYBKIE I TANIE

NIE MOGĘ wprost patrzeć jak wiele jeszcze gospodyń stosuje staroświeckie metody wekowania owoców i warzyw. To dzwiganie wielkich kotłów, obwijanie słoików w siano lub gazety, te poszukiwania za metalowymi sprężynkami, to gotowanie słoików po kilka godzin... nie, to wszystko razem jest potworne! Pochłania moc czasu, pracy, wysiłków...

Dziś więc podamy najprostszą metodę zamykania słoików weka.

Czy umiecie stawiać bańki? Otóż w identyczny prawie sposób można wekować kompoty, dżemy z małą ilością cukru, przetwory bez cukru, jarzynki gotowane, grzyby itp.

A więc przystępujemy do pracy!

FOT. 1 — Kompot gotujemy tak, jak na deser po obiedzie. Czyli: zdrowe owoce, czysto wymyte, kładziemy do garnka aluminiowego lub emaliowanego nie poobijanego, zalewamy zimną wodą, zasypujemy cukrem do smaku (lub gotujemy bez cukru, słodząc kompot dopiero zimą). Kompot gotujemy krótko, na dużym ogniu, pod przykryciem. Gdy zaczyna wrzeć zbieramy „szumki” i od razu wrzucamy kompot wlewamy do gorących słoików weka. Ale... równocześnie z kompotem gotujemy wodę, by zagrać nią i wypłukać weka.

FOT. 2 — Do idealnie czysto wymytych słoików (słoje, pokrywki, gumki i wszelki używany sprzęt pomocniczy myjemy wodą z mydłem lub sodą i kilkakrotnie płuczemy czystą wodą) wlewamy czystą, wrzącą wodę. Łyżka metalowa zapobiega pęknięciu słoja. Po kilku minutach wodę odlewamy, łyżkę wyjmujemy i natychmiast wlewamy wrzący kompot, czy inną konserwę. Wycieramy brzeg, nakładamy gumkę i pokrywkę. Wszystkie te czynności muszą być szybko i z wprawą wykonywane, bo najlepiej jest, gdy słoje wraz z zawartością utrzymują temperaturę nie niższą, niż 75 do 80 stopni C.

FOT. 3 — Gdy już mamy słoiki napełnione, zamykamy je na stałe płomieniem spirytusowym. (Czysty spirytus, nie denaturat!). Już poprzednio trzeba sobie przygotować drucik (np. wyprostowany spinacz) i owinać jeden jego koniec watką. Tę watkę zanurzamy w spirytusie, zapalamy i płonący drucik wsuwamy pod wieczko weka. Poruszamy płomieniem przez kilka sekund; szybko drucik wysuwamy, dociskając równocześnie pokrywkę. Robota skończona! Jedną watką, przy wprawie, można zamknąć do kilkunastu słoików. Łatwo, szybko i tanio, prawda?

Może się jednak zdarzyć, że słoje się nie zamkną, nawet po kilkakrotnym „stawianiu baniek”. Trzeba wtedy zbadać przyczynę. Może nie zauważyliśmy, że szlif jest uszkodzony, że gumka skruszała, nie elastyczna, lub dziurawa, że pokrywka nie dopasowana. A może przestrzeń między wieczkiem, a przetworem jest za mała lub za duża? Powinna wynosić około 4 cm. Jeśli się da, trzeba błąd usunąć; jeśli się nie da, słoje wyeliminować, gdyż nie nadaje się do wekowania żadną metodą.

Przechowujemy przetwory w ciemnym, suchym i chłodnym miejscu.

Przestrzeganie wszystkich wymienionych wskazań gwarantuje otrzymanie konserwy zdrowej, smacznej, ładnej, nie psującej się, oraz zachowanie wartości witaminowych owoców czy warzyw.

Korzystajcie z taniego sezonu owocowego! Wasza „spizarnia” będzie Waszym skarbem w zimie!

Czego każdemu życzy najgoręcej

AGATA



Fot. 1

Fot. 2





KOSZYKARZE CHIN LUDOWYCH W POLSCE

W drodze powrotnej z Berlina reprezentacja studentów koszykarzy Chin Ludowych rozegrała na terenie Polski kilka spotkań. Pierwsze odbyło się w Warszawie i zakończyło się zwycięstwem Polski 45 do 44. Na zdjęciu emocjonujący moment walki na kortach CWKS.

Gra gości oparta na doskonałej technice i pomysłowych akcjach wywarła jak najlepsze wrażenie i świadczy o wysokim poziomie chińskiego sportu ludowego.



Uczestnicy obozu kondycyjnego CWKS podwyższają swój poziom uświadomienia politycznego.

WIELKA SPARTAKIADA

SPORT POLSKI wszedł w okres Spartakiady. Na stadionach CWKS w Warszawie, na ringu w Łodzi, na torze kolarskim Helenowa i na strzelnicy w Rembertowie toczą się zażarte walki najlepszych z najlepszymi.

Przez pięć miesięcy przygotowywali się uczestnicy Spartakiady do wielkiej chwili, w której będą mogli reprezentować barwy swego Zrzeszenia w największym egzaminie, jaki zna historia sportu polskiego.

Z ćwierć miliona zawodników, którzy na boiskach całego kraju mierzyli swe siły w początkowej fazie eliminacyjnej, przez gęste sito stopniowanych walk przeszło ostatecznie około 3.000 wybranych.

I dziś właśnie widzimy ich na boiskach, gdzie dokładają sił, by nie zawieść zaufania i włożony w nich kapitał pracy oprocentować jeszcze lepszymi osiągnięciami, jeszcze wspanialszymi wynikami, świadczącymi o stałych postępach masowego sportu Polski Ludowej.

Walki o pierwsze miejsce i zarazem o zaszczytne tytuły Mistrzów Polski, rozgrywają się w oczach dziesiątków tysięcy widzów. Z niemniejszym napięciem setki tysięcy zwolenników sportu oczekuje przy głośnikach radiowych wiadomości o nowych rekordach i coraz to wyższych wynikach.

Czy Gremłowski po intensywnym wysiłku w Berlinie zdoła zrobić znów krok naprzód i posunie się ku górze na liście najlepszych pływaków Europy? Czy w ogniu zażartej rywalizacji doskonałych średniodystansowców stopi się wreszcie przedwojenny rekord Kusocińskiego na 1500 m? I kto będzie następcą niezapomnianego największego polskiego biegacza, który zginął tragicznie z rąk faszystowskich zbirów? Czy miejsce jego zajmie Korban, Lewicki, Statkiewicz, Kuśmirek lub... wreszcie Potrzebowski, który sprawił zawód w Berlinie?

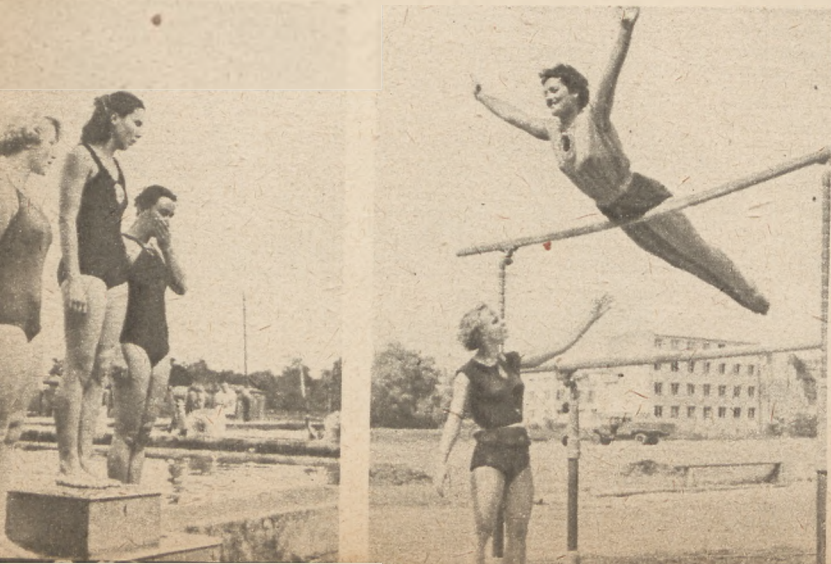
Oto są pytania, emocjonujące sportowców polskich w nie mniejszym stopniu, niż przebieg 150 walk, jakie stoczone będą na ringu Łodzi, czy stan ostatecznej klasyfikacji, która będzie świadectwem pracy i zdolności organizacyjnych poszczególnych Zrzeszeń.

Równoległe z tygodniem Spartakiady w Warszawie i Łodzi, odbywać się będą na terenie całego kraju próby do odznaki „SPO”, jako zasadniczej podstawy racjonalnego rozwoju fizycznego polskiej młodzieży.

Dzikówna, Bemówna, Pstrokońska (Z. S. Ogniwo) na podium zwycięzców po biegu na 100 m.

Pod kierunkiem mistrzyni W.P. Reindlowej Ewa Brzesewska przygotowuje się do Spartakiady.

Zawody pływackie Z.S. Ogniwo we Wrocławiu przyniosły jeszcze jeden sukces Gremłowskiemu.



ŚWIAT

TYGODNIK ILUSTROWANY

Redaguje Komitet

Wydawca: R.S.W. „PRASA”

Redakcja: Warszawa, Nowy świat 58. Telefony: Red. Naczelny: 6-10-69. Centrala 6-11-81, 6-12-88. Administracja: Wiejska 12, tel. 4-01-80. Prenumerata i Kolportaż: PPK „Ruch”, Oddział w Warszawie, ul. Srebrna 12, tel. 8-04-20 do 25. Prenumerata miesięczna zł 4.80 — kwartalna zł 14.40, półroczna zł 28.80, roczna 57.60. Należność za prenumeratę wpłacać do P.K.O. Nr I-21040/110.

Zakłady Wkłęsłodrukowe RSW „Prasa”, Warszawa, Okopowa 58. 2-B-39923

Rewia **ŚWIAT**a

pod dyrektcją
TADEUSZA TREPKOWSKIEGO i JERZEGO JURANDOTY
Kukły J. ZARUBY Zdjęcia „ŚWIAT”



CZTERECH JEŹDZCÓW APOKALIPSY

CHURCHILL:

— Pędź, rumaku mój z Apokalipsy,
ty mój wierny, najlepszy, najszybszy...
Pędź, bym światu raz jeszcze wykazał,
że ja jestem prawdziwa ZARAZA!

ACHESON:

— Moje imię jest GŁÓD, dżentelmeni,
szukam sobie życiowej przestrzeni —
pędź, mój koniu, i nieś mnie w galopie
Po zachodniej US-Europie

EISENHOWER:

— Jam jest OGIEŃ... Pędź, pędź, wiatronogi,
bo się palę do nowej pożogi!
Tyś mój konik i chcę na twym grzbiecie
jak najdalej się roznieść po świecie...

TRUMAN:

— Pędź, rumaku, niech skry lecą z kopyt!
Dziś na WOJNĘ dzień w dzień mniejszy popyt...
Prędzej, prędzej! Na tamtym obłoku
biały gołąb nas ściga... To POKÓJ...

FELIETON AKTUALNY

List do Redakcji

w sprawie spekulacji

Szanowny Obywatelu Redaktorze!

POZWALAM sobie, Szanowny Obywatelu Redaktorze, w sprawie tej krzywdy, która mnie spotyka i z prośbą o łaskawe zamieszczenie. Bo niby, różnych się wysłuchuje i odnośne sprostowania zamieszcza, a jak ja się do kogo zwrócę, to zaraz mówią: „A idźże, ty spekulancie taki owaki”.

A jakież ja tam znów spekulant, Szanowny Obywatelu Redaktorze? Najchętniej to bym w ogóle jakąś posadkę wziął, może być nawet państwowa.

Ale żeby pracować, Szanowny Obywatelu Redaktorze, to czas trzeba mieć, a skądże ja go, że się tak wyrażę, wezmę? Od wczesnego rana stoję w kolejce. Sama żona i dzieciaki rady przecież nie dadzą, bo odpowiednich znajomości w tak zwanym aparacie nie posiadają. Jeszcze trafią na takiego, co to się przepisów trzyma jak pijany płotu i dogadać się jak człowiek z czło wiekiem nie potrafi i mogą nawet, że się tak wyrażę, wsiąć.

A takich biurokratów, Szanowny Obywatelu Redaktorze, z każdym dniem więcej. Przecież się rozumie samo, że się tak wyrażę, przez się, że jak stoję w kolejce czyli ogonku, to nie po to, żeby ćwierć kila wołowiny przy kości albo piętnaście deka salcesonu drogą kupna nabyć. Jak już się swoje wystoję, to niech przynajmniej kochane nasze społeczeństwo coś z tego ma, zwłaszcza szczególnie, że i żona z dziećmi czas, można powiedzieć, tracą. A czas w obecnej rzeczywistości, Szanowny Obywatelu Redaktorze, po prostu, że się tak wyrażę, potęga. To potem żona tę ćwiartkę cielaka i tych paręnaście kilo wieprzowiny na bazar, żeby, prawda, i inni obywatele dostęp mieli.

Faktycznie trochę drożej się liczy, ale co robić, jeżeli — jak to powyżej zostało udowodnione — czasu na państwową posadę nie ma, a żyć z czegoś trzeba. I gdzież tu — przepraszam za wyrażenie — spekulacja? A co do innych towarów, to znowuż tak — zauważyłem i mogę dowieść, że ile razy wykupiemy większą ilość jakiegoś artykułu na tak zwany wszelki wypadek, to faktycznie potem go nie ma, czyli że nasze przypuszczenie, że może nie być, słuszne. Być się okazało.

A jak już czegoś nie ma, to przecież jako dobry obywatel nie mogę dopuścić, żeby inni tak samo dobrzy obywatele tego czegoś pozbawieni zostali — więc pomagam naszemu młodemu handlowi sprzedając coś nie coś z posiadanych zapasów z godziwym, że się tak wyrażę, zarobkiem dwieście, trzysta procent. Która to suma, Szanowny Obywatelu Redaktorze, z uczciwej karkulacji wynika, w którą się tak zwane handlowe ryzyko wlicza. A ryzyko faktycznie jest duże, zwłaszcza szczególnie teraz, jak te społeczne komisje do spekulacji powołali i żyć coraz trudniej, co proszę Szanownego Obywatela Redaktora o zamieszczenie w jego poczytnym organie.

Z poważaniem

N.N.

(nazwisko i adres znane Redakcji i Komisji Specjalnej)

UWAGA PRENUMERATORZY!

Zawiadamy wszystkich prenumeratorów naszego pisma, że począwszy od m-ca września br. urzędy pocztowe oraz listonosze więcej i więcej przyjmować będą wpłaty na prenumeratę w terminie do dnia 1-ego każdego miesiąca na miesiąc następny i okresy dalsze.

Taką chcieliby widzieć Warszawę
wrogowie Polski Ludowej...



...A TAKA
BĘDZIE

